Wpisano do kartoteki periodyków
Rejonowej Wypożyczalni Książek
dla Dorosłych
Dn. 8. 10. 1960 r.

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
ROK III
Łódź 9 X. 1960 r.
Nr 40 (136)
Cena 1 zł

W numerze dalszy ciąg sporu o wikariusza (str. 5), o III Rzeszy na szczeblu powiatowym (str. 4), o ludziach z hotelu (str. 4 i 5), o pożegnaniu Dejmka z Dejmkiem (str. 6–7)

WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI

Kultura à la minute

ANTYNIKOTYN i ANTYKULTURA

Świetny „Le Monde" zamieszcza recenzję na temat antypowieści Michel Butora czy Allain-Robbe Grilleta. Drukuje cykl artykułów kogoś z Nieśmiertelnych na temat niebezpieczeństw grożących współczesnemu językowi francuskiemu, oraz, rzecz obowiązkowa przemówienia i referaty wstępujących do Akademii Francuskiej Stały cykl recenzji teatralnych i filmowych proponuje dość wyrafinowany wzorzec estetyczny. Akcent jest położony na informację bieżącą w sprawach kultury. W „Życiu Warszawy" Jarosław Iwaszkiewicz kształci zmysł smaku u czytelników tego dziennika. Felieton o książkach, o lekturze ściślej biorąc, świetnego prozaika spełnia bez wątpienia funkcję dopingu proponuje chcąc nie chcąc lekturę, która jest na pewno interesująca i godna zalecenia każdemu czytelnikowi. Iwaszkiewicz przemawia w tonacji gawędy. Dlatego jest bliski i bezpretensjonalny. Jeżeli wielki pisarz pisze stały felieton na temat książek czy jest to wyrazem polityki kulturalnej pisma? Zapewne tak.

Redagowanie jakiejkolwiek gazety w takim mieście jak Łódź jest zadaniem niełatwym. Jeszcze trudniejsza sprawa to właśnie problem tak zwanego działu kulturalnego. Każda z łódzkich gazet codziennych wydaje specjalny dodatek poświęcony tymże sprawom. Dodatek „Dziennika Łódzkiego" zwie się „Panoroma". Ukazuje się raz w tygodniu, w niedzielę. Obok dodatku, rzecz oczywista, niekiedy pojawiają się specjalne czy to notatki, czy to artykuły, bądź recenzje poświęcone aktualnym zagadnieniom kulturalnym. Wszystkie te materiały obliczone są częściowo na czytelnika spoza kręgu „Głosu Robotniczego" i „Expressu", częściowo zaś poprzez swoją powszechność dotyczyć mogą wszystkich czytelników, a więc i tych, którzy sięgają codziennie po więcej niż jedną gazetę.

Czy tacy w ogóle istnieją? Zapewne jest ich stosunkowo niewielu, choć można zaryzykować proste twierdzenie, że rano czyta się „Dziennik" lub „Głos" a po południu „Express". Prześledzenie ostatniego rocznika „Dziennika Łódzkiego" ze szczególnym uwzględnieniem zagadnień kulturalnych pozwala na konstatację pewnych prawidłowości, które stanowią o kulturalnej polityce tego pisma.

Uderza przede wszystkim naturalna przypadkowość. Naturalna, bo podyktowana rocznicą śmierci pisarza i premierą teatralną. Obok tej tendencji zaznacza się druga bardziej pryncypialna tendencja felietonu-gawędy, i artykułu o charakterze nauko-

Dokończenie na str. 6

Janina Guttnerówna w „Rozkosznej dziewczynie" — Recenzję z tej operetki zamieścimy w następnym numerze

Fot. G. Pucciato

Zofia Petri i Tadeusz Minc na Małej Scenie Teatru Nowego

JERZY KLIMKOWSKI

KATASTROFA w Gibraltarze

...Już w 1955 roku na łamach tygodnika „Świat", potuszałem sprawę „tajemnicy Gibraltaru" i wówczas wyraźnie zaznaczyłem, że moim zdaniem nie może być mowy o jakimkolwiek „przypadku" i że w zasadzie nikt w takowy nie wierzył. Podkreślałem, że był to normalny zamach.

Jeśli obecnie znów zabieram głos w tej sprawie, to dlatego, że tak się jakoś złożyło, że w lutym 1960 roku znalazłem się na procesie gen. Andersa w Londynie. I tu właśnie obrońca gen. Andersa, radca królewski Rawlison zwracając się do Mikołajczyka jako świadka, powiedział, wskazując na mnie: „Klimkowski oskarżył Churchilla i Andersa o śmierć Sikorskiego. Co pan na to?" Mikołajczyk odpowiedział: — „Niestety, uważam że zrobili to Polacy i czynię gen. Andersa moralnie odpowiedzialnym za śmierć gen. Sikorskiego".

Drugie, trochę inne pytanie, było skierowane do prof. Kota. Tenże sam radca królewski Rawlison, zwrócił się do prof. Kota jako świadka i pokazując na mnie powiedział: — „Klimkowski oskarżył Churchilla i Andersa o spiskowanie przeciwko gen. Sikorskiemu".

Byłem obecny cały czas na sali sądowej i gdyby tenże radca Rawlison chciał mieć faktycznie pewną odpowiedź to przecież mógł mnie osobiście zapytać, a ja bym z pewnością mu odpowiedział, co o tym myślę — co o tym wiem.

Jednak radca Rawlison tego nie uczynił. Dlaczego? Bo dobrze zdawał sobie z tego sprawę, że moja odpowiedź mogła go wielce zaszokować, ba, skompromitować, i wpędzić w takie zakłopotanie, z którego nie mógłby znaleźć wyjścia.

Oto dlaczego zabieram głos.

Od śmierci gen. Sikorskiego upłynęło 17 lat. To już znaczny kawał czasu. Możemy wobec tego może spokojniej, beznamiętnie popatrzeć dlaczego tak się stało i jak do tego doszło, oraz rozpatrzyć te niejasności i kombinacje, które do tej pory starają się usilnie zaciemnić całość sprawy.

* * *

Pod wpływem nacisku opinii publicznej emigracyjna Rada Ministrów 10. XI. 1943 r. powołuje nową komisję w składzie płk. pil. P. Dudziński, ppłk. inż. Lewandowski, kpt. pil. R. Kalpas, por. pil. S. N. Kulczycki, oraz z ramienia min. Komarnickiego prokurator dr T. Cyprian.

Komisja ta złożyła swoje sprawozdanie w dniu 27 listopada 43 r. Jednocześnie odpowiedziała na pytania postawione przez prok. dr Cypriana w sposób następujący.

„Komisja zapoznała się z treścią akt angielskich oraz polskich dotyczących „katastrofy" w Gibraltarze i wydała opinię odpowiadając na pytania postawione przez prok. Cypriana.

1) Pytanie. — **Czy w oparciu o wynik dochodzeń można przyjąć prawdopodobieństwo bądź możliwości sabotażu na ziemi, przed startem i jaką on mógłby przybrać formę?**

Odpowiedź: — Na podstawie badania tych części samolotu, które wydobyto z morza, nie można stwierdzić, że są dane wskazujące na sabotaż. Biorąc rzecz natomiast od strony teoretycznej, możliwości sabotażu nie można nigdy wykluczyć w tak skomplikowanej maszynie jak Liberator, zwłaszcza w warunkach zaufania wzajemnego panującego na lotniskach angielskich.

2) Pytanie. — **Czy w oparciu o wyniki dochodzeń można przyjąć możliwość błędu w pilotażu i na czym ten błąd mógł polegać?**

Odpowiedź. — Możliwość błędu w pilotażu przy kwalifikacjach i doświadczeniu pilota oraz łatwych warunkach startu przy dobrej pogodzie jest wysoce nieprawdopodobna, choć oczywiście nigdy możliwości błędu wykluczyć nie można. Zaznaczyć jednak trzeba, że przebieg wypadku nie wskazuje na błąd w pilotażu.

3) Pytanie. — **Czy jest możliwe wystartowanie i wzniesienie się do 150 stóp przy zablokowanym sterze wysokościowym przez urządzenie blokujące?**

Odpowiedź. — Zgodnie z opinią rzeczoznawców z Farnbrough i naszym doświadczeniem uważamy — że nie jest możliwe.

Gen. Sikorski

Dokończenie na str. 8

dyskusja polityki

JACEK LEBEN

KŁOPOTY OBFITOŚCI

Dla felietonisty, który raz w tygodniu zamierza pisać o XV sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych czas płynie za szybko. Felietonista przygotował sobie na przykład ładny materiał na temat wielkiego przemówienia N. S. Chruszczowa. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że po prostu tydzień minął, a w ciągu tego tygodnia były już dwa przemówienia Władysława Gomułki, przemówienie brytyjskiego premiera MacMillana, prezydenta Indonezji Sukarno oraz dosłownie dziesiątki spotkań, które w mniej gorących i mniej obfitujących w lawinę wydarzeń politycznych czasach stałyby się przedmiotem dziesiątków i setek komentarzy. Spotkanie Chruszczow-MacMillan, Eisenhower — MacMillan — Menzies, Hammarskjoeld — Gomułka, Chruszczow — Gomułka, Chruszczow — Tito. Całej kartki nie starczyłoby na ich wyliczenie. A tu na trzech kartkach trzeba zmieścić cały felieton.

Kraj nasz leży na głównym szlaku u wielkich wojennych kataklizmów. Jest dlatego najbardziej doświadczony przez wojnę. Nic więc dziwnego, że wygłoszone z trybuny ONZ przez Władysława Gomułkę przemówienie wysłuchane zostało z ogromną uwagą przez cały świat. Spokojny ton, rzeczowość, konkretność tego przemówienia oraz ciesząca się powszechnym szacunkiem postać Władysława Gomułki sprawiły, że głos Polski, głos niewielkiego przecież kraju uznany został za niemniej ważny od głosów politycznych „wielkich" tego świata.

Ryzyko wojny światowej jest w tej chwili tak wielkie że nie są w stanie wyeliminować go słowne deklaracje. Wojna za naciśnięciem guzika nie jest już w tej chwili bynajmniej fantazją. Decyzja w sprawie takiej wojny może być podjęta już nawet nie przez rządy czy parlamenty, ale przez jednostkę. Błędna informacja, mylna ocena sił czy zamierzeń przeciwnika może sprowadzić na świat katastrofę. Jedynie więc wiążące porozumienia rozbrojeniowe

(Dokończenie na str. 11)

MARIAN BIELECKI

KONIUNKTURA i kłody

Głód artykułów włókienniczych, który ze szczególną siłą ujawnił się na polskim rynku handlowym w latach 1956—58, został już w poważnej mierze zaspokojony i nastąpiła w tej dziedzinie stabilizacja odpowiadająca w przybliżeniu obecnemu poziomowi dochodów ludności. Ale tylko laik może z tych faktów wyciągać wnioski o zbędności dalszego rozwoju przemysłu. Zaspokojenie bowiem potrzeb rynku wewnętrznego nastąpiło kosztem ograniczenia eksportu. Doszliśmy nawet do takiego stanu, że eksport tkanin w okresie ostatnich czterech lat był znacznie niższy od eksportu przedwojennego i również niższy od poziomu z lat 1950—53.

Czy obecna koniunktura światowa sprzyja wzmożeniu eksportu tkanin?

Można śmiało powiedzieć, że nigdy dotąd na rynkach światowych nie było tak sprzyjającej koniunktury dla naszego eksportu włókienniczego, jak obecnie. Wyzwalające się, gospodarczo zacofane kraje Azji i Afryki, liczące przecież w sumie blisko dwie trzecie całej ludzkości, kraje o największej liczbie urodzeń i ogromnym przyroście naturalnym, kraje te już obecnie i zapewne na długie jeszcze lata wyznaczać będą koniunkturę światową w dziedzinie włókiennictwa. Rzecza tylko naszych eksporterów jest należyte wykorzystanie tej koniunktury i szybkie opanowanie rynków azjatycko-afrykańskich. W tej sytuacji modernizacja i rozbudowa naszego przemysłu włókienniczego jest niewątpliwie bardzo słuszną decyzją podjętą w uchwale V Plenum KC PZPR.

Rozwojowi naszego eksportu włókienniczego sprzyja również szczególna sytuacja powstała na skutek przeprowadzonej obecnie w Wielkiej Brytanii, NRF i Japonii, a więc w krajach wielkiego potencjału włókienniczego, modernizacji przemysłu. Modernizacji, która powoduje czasowe zmniejszenie potencjału produkcyjnego. Dochodzi nawet do tego, że niektórzy producenci z tych krajów zwracają się do nas z ofertami o wykonanie na polskich maszynach tkanin z ich surowca, za opłatą robocizny. Oczywiście, że takie oferty nam nie odpowiadają. Ale możemy przecież wejść na rynki dotychczas opanowane przez te kraje, powinniśmy ze zmysłem dobrych handlowców wykorzystać stworzoną szansę.

Trzeba powiedzieć, że nasi eksporterzy z „CeTeBe" jak dotąd, wywiązują się z tego zadania nienagannie i można zaryzykować twierdzenie, że w dziedzinie eksportu wyrobów włókienniczych rok 1960 jest rokiem przełomowym. Bowiem wzrasta eksport wyrobów bawełnianych w stosunku do 1959 r. o 218 proc., tkanin jedwabnych — o blisko 300 proc., wełnianych — o około 200 proc i lnianych — o 119 proc.

Tak wielki wzrost eksportu tkanin nie byłby, oczywiście, możliwy do zrealizowania bez należytego zrozumienia wagi tych problemów przez pracowników przemysłu włókienniczego. Ale wciąż jeszcze nasi eksporterzy z wielkim trudem usuwać muszą kłody stawiane im przez przemysł, przeszkody, hamujące i poważnie utrudniające rozwój eksportu włókienniczego.

Kulą u nogi naszego eksportu jest nierytmiczność dostaw. Około 60 proc. puli eksportowej przemysłu bawełnianego jest dostarczane dopiero w ostatnich tygodniach każdego kwartału. Inną przeszkodą jest zbyt długi cykl produkcyjny. Okres od złożenia zamówienia do uzyskania produkcji trwa w przemyśle wełnianym około pół roku.

Najistotniejsza jednak bolączką są odrzuty eksportowe sięgające 30 proc. całości wykonanej produkcji, a wynikające z nieodpowiedniej jakości wyrobów, z niedostatecznego wybarwienia i z niewłaściwego wykończenia tkanin. Odrzuty te stanowią największą plagę naszego przemysłu, bowiem są to najczęściej — jak np. w przemyśle jedwabniczym — wzory robione na specjalne zamówienia arabskich, afrykańskich i dalekowschodnich odbiorców, wzory nie mające w Polsce żadnego zastosowania, ani nabywców.

Konieczność liczenia się z 30-procentowym odrzutem, który potem zawala magazyny fabryczne, zniechęca dyrektorów fabryk do przyjęcia zamówień eksportowych.

Czynnikiem mającym pobudzić i zachęcić dyrektorów i personel inżynieryjno-techniczny do produkcji eksportowej są specjalne premie eksportowe oraz kary konwencjonalne za niewywiązywanie się z terminowych dostaw. Ale, jak dotąd, bodźce te nie „bodą" dostatecznie, a kary nie straszą. Dlaczego?

Ano dlatego, że ktoś tak mądrze pomyślał, by kary konwencjonalne za niedotrzymywanie umów eksportowych były obliczane według cen fabrycznych, a kary za niedotrzymywanie umów z handlem wewnętrznym — według cen zbytu. A jak wiadomo — między ceną fabryczną a ceną zbytu w artykułach włókienniczych są ogromne różnice, składające się na wysoką akumulację tego przemysłu. Stąd też zrozumiałą jest rzeczą, że dyrektorzy fabryk wolą przyjmować zamówienia dla handlu wewnętrznego, mimo że w interesie państwa leży rozwój produkcji eksportowej. Wiadomo bowiem, że eksport tkanin daje państwu dewizy, które są niezbędne do pokrycia kosztów importu surowców włókienniczych.

Jak więc widzimy — na rynkach światowych istnieje wielka koniunktura dla rozwoju naszego eksportu włókienniczego. Tę szansę trzeba maksymalnie wykorzystać przez modernizację i rozbudowę naszego przemysłu, z nastawieniem na produkcję eksportową. Produkcja na eksport niewątpliwie przyczyni się również do podniesienia jakości wyrobów przeznaczonych na rynek wewnętrzny, do wzbogacenia ich asortymentu i lepszego ich wykańczania. Aby jednak powstała koniunktura mogła być należycie wykorzystana, muszą być usunięte wszelkie kłody i hamulce utrudniające wykonanie zamówień eksportowych.

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

MORDERSTWO wieczorową porą

Co czyni polski pisarz współczesny, który cierpi na chwilowy zanik mocy twórczych, depresję finansową, albo okresowy nihilizm moralny? Wyjeżdża na pustkowie? Próbuje uczciwie pracować? Nic podobnego. Pisze powieść kryminalną! Czasem taki autor obarczony już „nazwiskiem", pragnąc prawdopodobnie przed światem i sobą samym utrzymać złudzenie swego stosunku do literatury nie skażonego perwersją, przybiera pięknobrzmiące (nierzadko anglosaskie) nazwisko i może wtedy spokojnie patrzeć w przyszłość, gdyż ewentualne zniewagi spadną na głowę jakiegoś tam Gordona czy Klona, jemu zaś żadnej ujmy nie przyniosą. Historia literatury zaś będzie zapewne tak uprzejma, że przeoczy owe drobnostki. Taki stosunek do dziecka własnego ducha z nieprawego łoża świadczy zapewne o wątpliwej etyce, opartej na zaganiu i braku cywilnej odwagi. Tych brzydkich cech charakteru, przyznać trzeba, nie wykazał Henryk Vogler, puszczając w świat kryminał pt. „Nieobecni są winni", opatrzony własnym nazwiskiem. Ale ponieważ świat i ludzie są niesprawiedliwi, więc zapewne tego męstwa docenić nie potrafią.

Vogler powierzył swe dzieło Wydawnictwu Łódzkiemu, ono zaś z kolei — po raz pierwszy w swej karierze — obdarzyło nas powieścią kryminalną. Chwała ambicjom, zmierzającym do gatunkowego urozmaicenia produkcji, oraz zapewnienia beztroskiej rozrywki zastępom wiernych czytelników, znużonych wysiłkiem intelektualnym, towarzyszącym przyswajaniu sobie trudnej filozofii powieści konkursowych.

Osią owego kryminału jest mrożące krew w żyłach morderstwo, dokonane późnym wieczorem przez nieznanego początkowo osobnika. Ofiarą jego pada młoda i piękna dziewczyna. W wyborze tła wydarzeń autor wykazuje tendencje poniekąd stadne, gdyż nieomal wszyscy twórcy naszych rodzimych kryminałów z ostatnich kilku lat za miejsce zbrodni obierają sobie willę. Dlaczego? Może to wpływ nobliwej, angielskiej powieści kryminalnej, może dorobkiewiczowskie marzenia, albo po prostu snobizm?

Konstruując linię rozwojową wydarzeń Vogler wykazał natomiast dużą znajomość powieści Agaty Christie, oraz umiejętność eksploatacji inteligencji autorki „Pięciu Murzynków".

Oczywiście, w myśl zasad Christie, wszyscy muszą być podejrzani, a sprawcę można wykryć, kierując się niezawodną zasadą: „kto najbardziej niewinnie wygląda, ten zabił". Ale tu, być może, intuicja zawiedzie wytrawnych czytelników anglosaskich kryminałów. Vogler bowiem metodę tę podniósł na nieznane dotąd wyżyny, czyniąc morderczynią dwunastoletnią dziewczynkę, która z powodów erotyczno-freudowskich

zadała starszej siostrze śmiertelną ranę szarpaną przy pomocy nożyczek. Można będzie teraz metodę Voglera rozwijać, obniżając wiek zabójcy aż do niemowlęcia. Tylko, że w literaturze nie mierzy się sił na zamiary, ale odwrotnie, i, obrazowo mówiąc, wystarczy najmniejsze pośliźnięcie, aby zlecieć na łeb na szyję w przepaść szmiry.

Zresztą Vogler jako psycholog — to osobny temat do rozważań. Aby bowiem zadość uczynić pierwszej połowie zasady powieści kryminalnej (wszyscy są podejrzani), podjął się trudnej sztuki oczerniania prawie wszystkich swych bohaterów. Oto demoniczny i cyniczny „Ryszard ze swoim bezwzględnym, jastrzębim profilem, rozdętymi nozdrzami, bawiący się, jak zwykle — swoim lancetem, który nosił w kieszeni", oto Leszek Wiszniowiecki, typowy wróg klasowy (a więc doświadczenia naszej powojennej powieści nie poszły na marne), oto klasycznie piękny wamp, Dzidzia („Cudownie proporcjonalne rysy, zgrabny nosek, wysoko sklepione czoło, łagodnie zaokrąglone ramiona, wysoki biust kryły w sobie idealną harmonię wszechrzeczy, nieodpartą rację przyrody... Podobnie święte zwierzęta Egipcjan, krowy, żuły w bezmyślnej filozoficznej zadumie pokarm, manifestując w ten sposób swoją obojętną na sprawy świata — arcyboskość"). Bezkonkurencyjnie diaboliczny i zarazem złowieszczo szarmancki Wernicz ma w sobie coś z Hrabiego Monte Christo („Ani jeden muskuł nie drgnął na twarzy Wernicza"). Wiele innych postaci świadomie pomijam, nie chcąc przez zbytnie skróty fałszować niuansów psychologicznych, którymi operuje autor.

Warto przecież zauważyć, że Vogler nie daje się uwieść celom wyłącznie rozrywkowym. Wernicz jest wszak wyraźnie czarną owcą gospodarczą, która dorobiła się na szwindlach wielu willi, auta i angielskiej guwernantki. Sprawiedliwości stało się więc zadość — dobrobyt zepsuł moralnie młodszą panienkę z willi (elementy walki klasowej też są, gdyż wżw panienka zrzuciła ze schodów córkę ogrodnika, za co chłopi ją znienawidzili) która zamordowała starszą. Rzecz kończy się wdzięczną impresją: „Tylko z daleka płynął odurzający zapach, tak upajający, jak gdyby rozpoczynająca się noc miała być ostatnią, szaloną nocą odchodzącego na zawsze lata". Nie wiem czy Vogler, inteligentny skądinąd esseista i pisarz, ma zamiar nadal produkować podobnie odurzające dzieła. Jeśli nie, to wyrządził on dyshonor Wydawnictwu Łódzkiemu, ofiarowując mu najgorszy ze swych rękopisów. A może krakowski prozaik zamierza zmienić zawód i bawić się nadal w producenta kryminalnej szmiry? Od czego aby go rozsądna polityka wydawnicza zachowała...

TEATR, SZTUKA MASOWA

Całą stronę poświęcił „Przegląd Kulturalny" rozważaniom na temat sytuacji repertuarowej — i nie tylko repertuarowej — naszych teatrów. Materiały, zebrane przez dziennikarzy „Przeglądu", są wysoce pouczające. Radzę więc przestudiować te stronę tym wszystkim, którzy przewidują i przepowiadają rychły koniec epoki teatru. I radzę się opamiętać. Nie jest bowiem, proszę panów, tak źle. Ludzie, mimo wszystko, chodzą do teatru. I wszystko wskazuje na to, że będą chodzić nadal. Mamy do czynienia ze sztuką masową, świadczą o tym cyfry, jakie podaje „Przegląd Kulturalny".

Sztukę Cassony „Drzewa umierają stojąc" (Teatr Klasyczny, Warszawa) obejrzało prawie 82.000 widzów, „Barbarę Radziwiłłównę" w naszym Teatrze Nowym — ponad 57.000, a „Marię Tudor" Victora Hugo w Teatrze Narodowym — 49.000 widzów. Nie jest więc, powtarzam, źle, co dwunasty łodzianin widział dramat Felińskiego, to o czymś świadczy. Oczywiście, o tym, że w Łodzi są jeszcze ludzie, skłonni chodzić do teatru, i że jest ich wielu. Także o tym, że należy grać raczej Felińskiego niż Becketta i raczej Kochanowskiego niż niektórych polskich autorów współczesnych. Sprawozdawca „Przeglądu Kulturalnego" jest nieco innego zdania.

„*Wydaje się* — powiada — *że niezależnie od wartości intelektualnej i artystycznej — publiczność jest spragniona problematyki współczesnej w teatrze. Dowodem* — powiada — *może być „Pierwszy dzień wolności" Kruczkowskiego*".

Mnie się wydaje inaczej, sądzę, że publiczność nie pragnie zbytnio owej problematyki współczesnej, pragnie natomiast — co poświadcza lista bestsellerów „Przeglądu" — dobrej klasyki i wielkich nazwisk. Publiczność bowiem nie chodziła na sztukę Cassony, chodziła natomiast na Ćwiklińską, która w tej sztuce grała. Podobnie — jak zauważa sprawozdawca „Przeglądu" — chodzono na Eichlerównę, a nie na „Marię Tudor". Dodam: i na Holoubka, a nie na piłowatą sztukę Sartre'a. Te fakty są zresztą również pocieszające, mamy wielu znakomitych aktorów, jeśli ludzie nie dadzą się namówić na sztuki dramaturga Iks, to wystarczy, by w sztukach Iksa zagrała Barszczewska czy Mikołajska, a widownia będzie zapełniona. To i dobrze, to rozwiązuje problem przyszłości teatru, o cóż więcej nam chodzi? Niestety, chodzi o coś jeszcze, scenicznym bestsellerem ogólnopolskim była w ubiegłym sezonie szmirowata sztuka Manzariego „Nasze kochane dziatki", to arcydzieło bezmyślności — grane także i w Łodzi — obejrzało 85.000 widzów. Chodzi więc o to, by nie grać Manzariego, a grać Felińskiego. Albo Platona. Taki powinien być program minimum, dramaturgii współczesnej lepiej nie forujmy, widzowie sparzyli się wielokrotnie, i to dość boleśnie, teraz odwracają się plecami, znudzeni lub rozwścieczeni, i trudno nie przyznać im racji. Wiele lat upłynie, nim teatr i pisarze odbudują to, co zostało zburzone.

POLSCY ENCYKLOPEDYŚCI

Przy ulicy Miodowej, w Warszawie, w lokalach Państwowego Wydawnictwa Naukowego, powstaje nowa polska encyklopedia powszechna. O pracy nad encyklopedią pisze w ostatnim numerze „Świata" Kazimierz Dziewanowski. Jego reportaż, zatytułowany „Szarada na miarę Everestu", radzę przeczytać wszystkim zainteresowanym, to znaczy wszystkim Polakom. A przynajmniej wszystkim czytelnikom „Odgłosów". Encyklopedia nie jest bowiem sprawą kilkuset ludzi, którzy ją tworzą, to sprawa powszechna, sprawa — rzec by się chciało — narodowa. Ponieważ jesteśmy narodem kłótliwym, i dyskurs kochającym, nie trzeba chyba będzie nikogo zachęcać, by — po przeczytaniu reportażu Dziewanowskiego — podniósł wrzask, krzyk, listy pisał, poprawki i propozycje do encyklopedii wnosił. To ostatnia chwila, pierwsze hasła encyklopedii są właśnie opracowywane, pierwszy tom ukaże się w roku 1962. Tomów będzie dziewięć, haseł 80.000.

„*Jest to ilość* — jak pisze Dziewanowski — *która zaspokoi wymagania czytelnika o średnim i wyższym wykształceniu. Przedwojenna encyklopedia Trzaski, Everta i Michalskiego miała 72.000 haseł, znana encyklopedia „Columbia" ma ich 70.000, wielki „Larousse" — 125.000, a 12-tomowy „Brockhaus" — 120.000. Mała Encyklopedia Powszechna ma ich 40.000, ale w Dużej hasła będą obszerniejsze i bardziej szczegółowe*".

Znaczenie tego przedsięwzięcia trudno przecenić, wysiłek redaktorów encyklopedii godny jest najwyższego uznania, miejmy nadzieję, że za 20 czy 30 lat nie trzeba będzie zaczynać wszystkiego od początku, i że ta pierwsza powojenna wielka polska encyklopedia będzie przechodzić z pokolenia w pokolenie, z ojca na syna, uzupełniana i poprawiana. Dotychczasowe tradycje polskich encyklopedystów są piękne, tradycje rwały się wszakże lub były przerywane, książki palono lub książki wyklinano, wychodziła encyklopedia, mijało 20 lub 30 lat, i okazywało się, że encyklopedia jest bezużyteczna lub szkodliwa. Życzmy dobrze nowej polskiej encyklopedii.

KRZYWDA SPOŁECZNA

Radzę naszym czytelnikom zainteresować się wydrukowanymi w ostatnim numerze „Kierunków" fragmentami książki Simone Weil „Condition ouvriere". Tekst jest trudny ale wart przeczytania. Pisany w latach trzydziestych i czterdziestych naszego wieku, mówi więcej o charakterze pracy w społeczeństwie współczesnym, niż niejedna uczona rozprawa.

ERAZM

Świat księcia HENRYKA

Twierdza portugalska Sao Jorge da Mina została zbudowana w r. 1482 na terenach dzisiejszej Ghany

Padają zmurszałe potęgi, pyszne imperia kolonialne rozlatują się w oczach. Trwa jeszcze tylko Portugalia — najświetniejsze z nich kiedyś, a dziś najsłabsze i najbardziej zacofane. Portugalia, która pierwsza w świecie nowożytnym ważyła się na wielką ekspansję.

Tak się zdarzyło, że w dobie „wiosny ludów afrykańskich" przypada pięćsetna rocznica śmierci człowieka, który stał się bezwiednie pionierem i patronem kolonializmu.

Henryk Żeglarz nigdy nie dowodził okrętem. On był tylko mózgiem i sprężyną wszystkich ekspedycji, inicjatorem wszystkich późniejszych zdobyczy. Nie doczekał się za życia sławy ani zwycięstw. Zakładał tylko podwaliny mocarstwa.

Był rok 1415. Od półtora wieku na ziemi portugalskiej nie stanęła stopa muzułmańskiego najeźdźcy. Ale po drugiej stronie cieśniny, niemal o rzut kamieniem, czyhali zbrojni Maurowie. Zza murów groźnej Ceuty urągali „dobrym chrześcijanom".

Król Jan raczył zezwolić, by młodszy syn, wielki mistrz zakonu chrystusowego, wziął udział w oblężeniu. Ceuta, twierdza niezdobyta, padła.

Henryk miał lat dwadzieścia jeden. Przepych, który oglądał, łupy, które zdobył, zawróciły mu w głowie. W ubogim kraju trudno było sobie nawet wyobrazić, jakie skarby istnieją na świecie.

Niedosyt gnębił nie tylko Portugalię. Cała Europa, odcięta od wschodnich rynków przez muzułmańską blokadę, stała u progu bankructwa. Wzrastał niepomiernie import towarów zamorskich: kości słoniowej i hebanu, a przede wszystkim przypraw korzennych — drogocennego pieprzu. Z braku zaś dóbr na wymianę, za wszystko trzeba było płacić dźwięcznymi dukatami. Ale skarbce pustoszały, a zasoby kopalń wyczerpywały się szybko. Jak zresztą liche i zanieczyszczone rudy europejskie mogły się równać ze złotem, które Arabowie przywozili karawanami z Timbuktu, a zwłaszcza ze szlachetnym kruszcem z mitycznej Sofali, położonej, Bóg wie gdzie, za źródłami Nilu?

Porzucił infant przyjaciół i dworskie intrygi, osiadł w ustronnym Sagres, w prowincji Algarve, na wąskim cyplu wysuniętym daleko ku brzegom afrykańskim i wertował księgi i mapy.

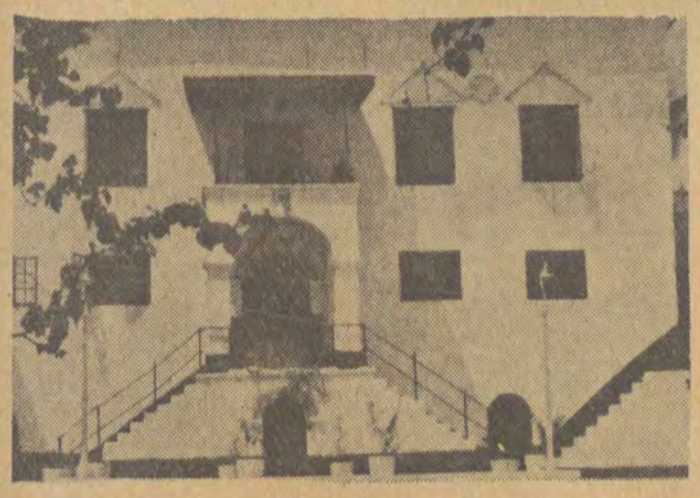

Mury Ceuty zbudowane przez Portugalczyków

Rozważał, że przecież za owymi morzami włada potężnym królestwem chrześcijański monarcha, Ojciec Jan, który już raz klęskę zadał pogańskim zastępom. Gdyby się z nim sprzymierzyć, gdyby wspólnie uderzyć na wroga.

Z tym Ojcem Janem historia była co najmniej niejasna.

W roku 1145 dotarła do Włoch wiadomość, że za granicami Persji leży wielkie państwo chrześcijańskie, którego król, kapłan imieniem Jan, pokonał ostatnio Persów i zdobył ich stolicę. W okresie niepowodzeń krzyżowców wieści takie przyjemnie brzmiały dla ucha, tym milej, że sami Arabowie przyznawali się do klęski, którą ponieśli na wschodzie w roku 536 według hedżry, czyli roku pańskim 1141.

Wiadomość przerodziła się w legendę. Podawano z ust do ust, że wśród niedostępnych gór i pustyń Azji żyje dotąd Jan Chrzciciel, czy może Jan Apostoł, który na czele zwycięskich hufców przybędzie kiedyś do Europy i zaprowadzi ład prawdziwie chrześcijański.

Od połowy trzynastego wieku mit przyjął jednak postać nieco zmienioną. Królestwo Jana umieszczano teraz nie w Azji, lecz w Abisynii, kraju królowej Saby i raju biblijnego, kraju bajecznym ale realnym i prawowiernym, z którym kontakty przerwały się dopiero po zajęciu północnej Afryki przez Arabów. Właśnie o Abisynii myślał książę.

Nie było sposobu dotrzeć tam drogą poprzez Nil i stary kanał faraonów na Morze Czerwone. (Kanał ów już wówczas nie istniał, ale o tym Henryk mógł nie wiedzieć). Na Saharę nie odważyłby się zapuścić żaden Europejczyk. Pozostawała droga wzdłuż zachodnich brzegów Afryki. Jeżeli nie kłamały starożytne mapy, gdzieś tam wpadała do oceanu zachodnia odnoga Nilu.

Infanta dręczyła bowiem wątpliwość, czy można opłynąć Afrykę dokoła. Relacje były sprzeczne. Tak zwany Laurentyjski Portolan z roku 1351, jako też pisma niektórych podróżników średniowiecznych, jasno rysowały taką możliwość, ale zaprzeczał temu Edrisi, a również Ptolomeusz — wciąż jeszcze najwyższy w tej dziedzinie autorytet. Z mapy Ptolomeusza wynikało, że Ocean Indyjski jest śródlądowym Morzem Erytrejskim, a tajemniczy ląd południowy — Terra Australis — łączy Afrykę ze wschodnim wybrzeżem Chin.

Portugalczycy zdawali sobie sprawę z ryzykowności przedsięwzięcia. Wiedzieli, że na Atlantyku wieje stały pasat północno - wschodni, który daje mało szans na bezpieczny powrót śmiałków, że wybrzeża zachodnie Afryki są pustynne i niegościnne, a więc trzeba się zaopatrzyć w żywność na długie miesiące. Tego się zresztą nie obawiali.

Bali się — a trwogę podsycały mrożące krew w żyłach opowieści — że za przylądkiem Bojador, za strefą burz, rozciąga się straszliwe morze ciemności, galaretowata toń, w której ugrzęzną statki, w której żyją niesamowite potwory, gdzie panuje żar spalający ciała na węgiel. A zaraz za tym morzem zaczyna się koniec świata.

Henryk w strachy nie wierzył, ale nie lekceważył trudności. Przystąpił do budowy ulepszonych statków, zdolnych do dalekich wędrówek. Małe portugalskie karawele, o gładkich burtach i żaglach na przemian rejowych i łacińskich, okazały się nadzwyczaj zwrotne, doskonale płynęły pod wiatr. I wreszcie, mając pewność, że niczego nie zaniedbał, wyprawił pierwszą ekspedycję.

Rok po roku wysyłał Henryk nowe ekipy, ale bez sukcesu. Żeglarze dotarli do Wysp Kanaryjskich, przebadanych już od wieku, a zamieszkałych przez dziwny lud białoskóry i niebieskooki żyjący jeszcze w warunkach epoki kamiennej. (Lud ten wytępili później Hiszpanie). Odkryli ponownie Madeirę, znaną już Rzymianom, i Azory, o których zapomniano od czasów Kartaginy. Ale dopiero w roku 1434 Gil Eanes wypłynął poza Bojador i spenetrował wybrzeża Rio de Oro, dzisiejszej Sahary Hiszpańskiej. Kraj okazał się bezwodny i nieciekawy, lecz obalenie ponurej legendy wróżyło pomyślną przyszłość.

Istotne odkrycie przyniósł rok 1441. W rejonie współczesnej Mauretanii Portugalczycy zetknęli się po raz pierwszy z ludźmi czarnej rasy. Dotychczas wątpiono w ich istnienie i niepewni, czy to nie małpy, marynarze przywieźli kilka „okazów" do kraju.

W cztery lata później zbadano Senegambię. Odkrycie ujścia Senegalu, który wzięto za przepowiedzianą odnogę Nilu, wywołało falę entuzjazmu. Nareszcie znalazła się droga do Ojca Jana. Wyprawę w głąb lądu odłożono jednak na kilka lat.

A tymczasem Diego Gomez osiągnął Cap Verde — Zielony Przylądek. Okazało się, że — wbrew poprzednim obawom — w rejonie równika życie jest możliwe, istnieje nawet bujna wegetacja. Co więcej, okazało się, że brzegi kontynentu skręcają na wschód. Tak jak wskazywał Portolan, a nie tak jak chciał Ptolomeusz.

Nowiny były radosne, ale Henryk znajdował się u kresu sił. Wystawił własnym sumptem ponad 50 okrętów, stracił cały majątek, zadłużył się straszliwie, a zysków jak nie było, tak nie było. Ludzie się buntowali, na dworze zawiązywano spiski. Gdy w końcu udało mu się, dzięki niezwykłej energii, przełamać wszystkie przeciwności, wybuchł konflikt z Hiszpanią o władanie nad morzami. Wreszcie, uproszony na mediatora sporu, papież Mikołaj V podzielił linią demarkacyjną ówczesny świat pozaeuropejski na dwie części. Tereny na zachód od tej linii z wyspami na Atlantyku i wszystkim, co zostanie w tym rejonie odkryte, przyznał Hiszpanii, tereny wschodnie wraz z Afryką oddał w eksploatację Portugalii. Indie, według późniejszych trochę postanowień, miały przypaść państwu, którego flota zjawi się tam wcześniej.

Sprawa Ojca Jana poszła jakby w zapomnienie. Ważniejszy był teraz wyścig do Indii. W roku 1455 ruszyły nowe flotylle.

Ale posuwały się coraz wolniej. W Zatoce Gwinejskiej, którą należało z kolei opanować, żegluga jest utrudniona. Przeciwne wiatry, przeciwne prądy, długotrwałe cisze morskie pod palącym równikowym słońcem, zniechęcały najodporniejszych. Ostatnia z wypraw przygotowanych przez Henryka przekroczyła równik dopiero w dwa lata po jego śmierci.

W roku 1482 Diego Cao założył bazę wypadową, — twierdzę Elmina w pobliżu dzisiejszej stolicy Ghany. Płynąc dalej na południe przyłączał nowe obszary do korony portugalskiej, stawiając w wydatniejszych punktach wybrzeża drewniane słupy, a potem marmurowe krzyże z odpowiednim tekstem. W swojej drugiej wyprawie Cao dotarł aż do Przylądka Cross, koło ujścia rzeki Swakop. I nagle słuch o nim zaginął. Wyprawa powróciła bez dowódcy, nie wiedząc nawet jak bliska była celu.

Cao zdążył jednak zbadać ujście rzeki Kongo. W ciągu kilku następnych lat jego koledzy dotarli daleko w głąb kraju i założyli tu pierwszą, rzeczywistą kolonię portugalską. Tereny Angoli i Mozambiku opanowano dopiero po prawie stu latach.

Płynąc śladami swoich poprzedników, koniuszy królewski Bartolomeo Diaz dotarł najdalej — do Angra Peguena w Wielkim Namalandzie. Zaskoczony burzą wypłynął na pełne morze i zabłąkał się gdzieś daleko na południu. Po dłuższych poszukiwaniach odnalazł wreszcie ląd i nagle przekonał się, że płynie wzdłuż wschodniego wybrzeża Afryki. Uradowany zawrócił i w drodze powrotnej rozpoznał cypel, który oddziela wschodnią i zachodnią linię brzegową. Cypel ten na życzenie króla nazwano Przylądkiem Dobrej Nadziei. Był rok 1488. Droga morska do Indii została odkryta.

Na znacznie bardziej niebezpieczną awanturę rzucił się wraz z kilkoma towarzyszami Pedro da Covilhao. Wyruszył równocześnie z Diazem, przedarł się przez Egipt i Abisynię, i stamtąd przeprawił się do Indii. Zebrał przy tym mnóstwo informacji o świecie arabskim, o afrykańskich portach tranzytowych i marszrutach kupców. Teraz pozostało tylko zbadać owe ośiemset mil wschodniego wybrzeża, dzielące punkt, do którego dotarł Diaz, od przylądka Corrientes stanowiącego południową granicę wypadów arabskich. I można już było płynąć do Indii.

Takie właśnie zlecenie otrzymał dwudziestoośmioletni Vasco da Gama. W lipcu 1497 roku wystartował na czele czterech okrętów wyposażonych lepiej niż kiedykolwiek dotąd. Posiadając pełne rozeznanie sytuacji ominął zdradliwą Zatokę Gwinejską i szybko osiągnął południowy kraniec Czarnego Lądu, płynąc na przełaj od Zielonego Przylądka. Wędrując dalej wzdłuż brzegów, po niezliczonych przygodach dotarł do Malindi w pobliżu równika i stamtąd dopiero, zwerbowawszy miejscowego pilota, skierował się na wschód. Po trzech tygodniach wylądował w Kalikut (Kożikode) w Indiach Południowych. Wrócił do Lizbony po 630 dniach podróży, z dwoma tylko statkami, i połową załogi, ale za stosami towarów, o których marzyła Europa.

Tym samym szlakiem w roku 1500 wybrał się Pedro Alvarez Cabral. Niestety, w okolicach Zielonego Przylądka zboczył z kursu, prądy go zniosły i wylądował w miejscowości, która dziś nosi nazwę Porto Seguro. Tak odkryto Brazylię i tak powstało imperium.

Ale lud portugalski skorzystał na tym niewiele.

Opracował: **K. J.**

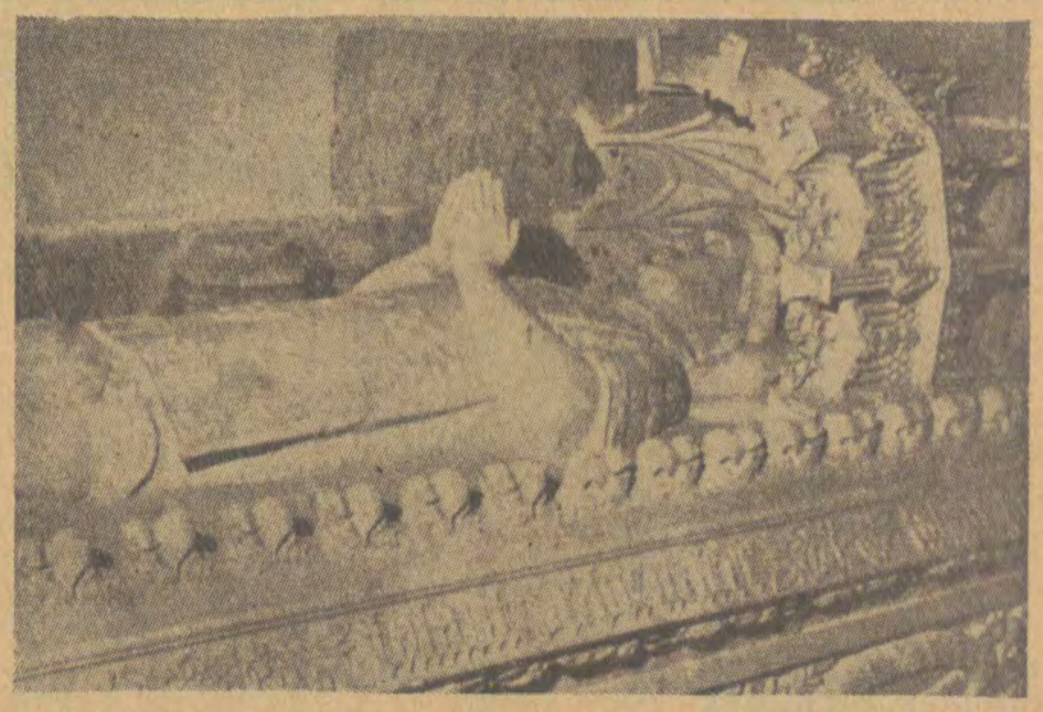

Grobowiec księcia Henryka

III Rzesza na szczeblu powiatu

SYZYFOWE PRACE PANNY POLLWEIN

W Łasku odnaleziono bardzo ciekawy dokument. Jest to pamiętnik nauczycielki — Niemki Marii Pollwein, która podczas okupacji pracowała w łaskiej szkole podstawowej i zajmowała się wychowaniem niemieckich dzieci w duchu narodowego socjalizmu. Czytelników naszych z pewnością zainteresują kłopoty i troski niemieckiej nauczycielki, są one bowiem z wielu względów bardzo symptomatyczne. W publikacji opuściliśmy fragmenty, które mówią o szczegółach organizacyjnych szkoły, metodzie nauki itp., pozostawiliśmy tylko tę treść, która pomoże zrozumieć w jaki sposób próbowano budować III Rzeszę w małym powiatowym miasteczku na ziemiach polskich.

Oddajmy jednak głos pani Marii Pollwein.

RED.

„Urodziłam się 7 lipca 1922 roku w Pfarrkirhen, w Dolnej Bawarii. Ojciec mój jest właścicielem drukarni. Dzieciństwo spędziłam w żyznej dolinie Rottal. W 1928 roku wstąpiłam do ośmioletniej szkoły dla dziewcząt w Pfarrkirchen. Już wtedy postanowiłam zostać nauczycielką. Po ukończeniu 4 klas należało obrać kierunek. Podział na wydziały istniał jedynie w teorii. Chłopcy, poza lekcjami, odbywali praktykę na poletkach doświadczalnych, a dziewczęta zajmowały się jedynie sporadycznie tępieniem gąsienic.

Ponieważ szkoła miała tylko 6 klas, w kwietniu 1938 roku wstąpiłam do liceum miejskiego w Passau-Niedernburg. W październiku 1939 roku zgłosiłam się ochotniczo do Reichsarbeitsdienst i otrzymałam powołanie do obozu 13/1333 w Pfreimd, w Górnym Palatynacie. 10 grudnia 1939 roku przeniesiono mnie do obozu 9/135 w Eschenbach w Górnym Palatynacie.

Przyznaję szczerze, że przestawienie się z pracy umysłowej na fizyczną nie było dla mnie lekkie — szczególnie rąbanie drewna. Przy końcu marca zwolniono mnie z tego obowiązku i na podstawie przepisów wojennych otrzymałam świadectwo dojrzałości. W kwietniu 1940 roku zapisałam się do Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Monachium-Pasing. Po trzecim semestrze, złożyłam w lipcu 1941 roku pierwszy egzamin w Urzędzie Szkolnym dla Szkół Podstawowych. Dużo praktyki nabrałam w czasie kursu przy Okręgowym Seminarium w Litzmanstadt, w lutym 1942 roku.

W październiku 1941 roku powołano mnie do pracy w Szkole Podstawowej w Łasku, Warthegau, Koleżanki zazdrościły mi, że się dostałam do miasta wyposażonego w komfort. Słowo „komfort" oznaczało zbiorowe wszelkie udogodnienia, jak światło, stację kolejową i szkołę wieloklasową z kierownikiem. Początkowo mieszkałam u bardzo miłej rodziny Reichsdeutschów, dopiero w lutym 1942 roku otrzymałam wspólne locum z koleżanką, panną Wagner, na poddaszu szkolnym.

Objęłam klasę pierwszą i drugą, pierwszy i drugi rok nauki. Obydwie te klasy prowadziłam do kwietnia 1943 roku. Potem oddałam klasę II, a wzamian otrzymałam część przedmiotów w klasie III, jak rachunki, pisanie, muzykę, rysunki, wychowanie fizyczne dla dziewcząt i geografię. W nowym roku szkolnym nastąpiły zmiany; obecnie prowadzę drugą klasę, a ponadto w klasie trzeciej udzielam lekcji rachunków i wychowania fizycznego dla dziewcząt...

Hptl. Schwarz i Frl. Wagner

Po przybyciu do Łasku objęłam grupę młodzieżową w National Sozialistiche Frauenschaft, lecz praca w tej organizacji nie odpowiadała mi zbytnio. Później wylądowałam w Bund Deutscher Mädel, gdzie początkowo prowadziłam grupę dziewcząt w Łasku, a od stycznia 1943 roku dwie grupy. Praca była ciężka. W czerwcu 1943 roku udało mi się jedną grupę przekazać następczyni...„

W części poświęconej historii Łasku nauczycielka hitlerowska odsłania prawdę o „niemieckości" miasta przyłączonego do Warthegau. Charakterystyczny jest cynizm, gdy mówi o likwidacji Żydów

„Za czasów Władysława Jagiełły, w roku 1422, Łask otrzymał prawa miejskie. W roku 1424 przyznano miastu przywilej urządzania targów. Dzięki licznym przywilejom następował rozwój grodu. Z początkiem XVII wieku należy Łask do najbogatszych miast przemysłowych. Pozostałością z okresu świetności jest kościół parafialny, ufundowany w roku 1366 przez Jarosława ze Skotnik. Zaraza i pożary niszczyły ciągle miasto. Od początku wieku XIX aż do 1830 roku zamieszkiwało miasto wielu Niemców, którzy przybyli tu głównie z Darmstadtu w Hesji i z Weimaru w Turyngii. Większość osiedleńców uległa polonizacji i jako ślad po nich pozostało kilka nazwisk, np. Herman, Gryger, Müller i Pilz. Na początku wojny w 1939 roku mieszkały w Łasku tylko 3 rodziny niemieckie: Leopold Hecket, Oswald Kernhen i Reinhold Schlifke.

Po włączeniu miasta do Rzeszy napływa coraz więcej Niemców. W roku 1940 jest ich już 569, w 1941 roku 693, w 1942-800. Dziś jest już 970.

Większość ludności stanowili Żydzi. Przybyli tu głównie z Niemiec w okresie średniowiecza, gdy ich stamtąd wypędzono. Stąd też prawie wszyscy rozumieli i mówili po niemiecku. W roku 1860 na 3776 mieszkańców przypadało 2671 Żydów, w 1940 roku było ich 3467, w 1941 — 3453.

Jesienią w 1939 roku przeniesiono ich do oddzielnej dzielnicy. 24 sierpnia 1942 roku policja opróżniła ghetto. Przez kilka dni trzymano Żydów w kościele katolickim, wyłączono tylko rzemieślników. 28 sierpnia zakończono akcję. Wszystkich Żydów odtransportowano samochodami ciężarowymi, miasto zostało oczyszczone.

Łask był miastem powiatowym. Poza szkołą podstawową posiadał gimnazjum. Niemcy przenieśli siedzibę powiatu do Pabianic. Obecnie jest tu Urząd Komisarza, Główny Urząd Celny, Kasa Oszczędności, bank spółdzielczy i mleczarnia.

Jak już wspomniałam, w 1939 roku były tylko trzy rodziny mówiące po niemiecku. Po opanowaniu kraju przez Niemców dużo rodzin poczuło się niemieckimi. Do miasta przeniosło się również wiele rodzin z okolicznych wsi. W mojej klasie mam dużo dzieci pochodzących z Gucina, Rokitnicy i Grabicy. Są tu również niemieccy Wołyniacy — kupcy, chłopi i rzemieślnicy. Większość z nich pochodzi z rejonu województwa Łucka, pozostali najczęściej z okolic Białegostoku" (Panna Pollwein coś niecoś myli Białostockie z Wołyniem" — przyp. red.) „Ponadto, jest pewna grupa z Bukowiny, z okolic Czerniejowic oraz kilku Niemców bałtyckich.

Warunki tak się złożyły, że większość Wołyniaków nie uczęszczała do szkoły. Jest wśród nich wielu którzy do dnia dzisiejszego nie umieją się podpisać. Można by było przypuszczać, że są zadowoleni z umożliwienia ich dzieciom nauki. Natrafia się jednak u nich niekiedy na zupełny brak zrozumienia dla szkoły i jej pracy.

Co sądzić na przykład o takim fakcie? Matka chłopca w wieku szkolnym wyraża zdanie, że wolałaby, by syn jej pasł owce niż chodził do szkoły. Przysłowie — „Die dümmsten Bauern ernten die grössten Kartoffeln" (Najgłupsi chłopi zbierają najwięcej ziemniaków) ma niebezpieczną treść, a przecież rolnictwo wymaga mądrości, roztropności jeśli ma przynieść dobre plony. Wtedy tylko będziemy mogli zapewnić naszemu narodowi zaopatrzenie w żywność.

Hptl. Schwarz i Frl. Gärtner przed szkołą w Łasku

W mieszkaniach przesiedleńców i Volksdeutschów panuje brud i nieporządek a dzieci nie mają nawet własnych jóżek. Fałszem byłoby przypisywanie wszystkiego warunkom wojennym. Widać tu polskie szkodliwe wpływy. Obserwuje się również często realizm przysłowia: „Aussen Hui und innen Pfui" (nie wszystko złoto co się świeci) — jednym słowem — na zewnątrz dama, a w domu brud i brak najniezbędniejszych przedmiotów codziennego użytku.

Nie wierzę, by można było dokonać zasadniczych przemian u dorosłych. Musimy oddziaływać przede wszystkim na dzieci, aby nauczyły się że zewnętrzny połysk to nie wszystko. Przez dzieci będziemy mogli z kolei oddziaływać na rodziców.

W mojej klasie mam 26 Volksdeutschów, 14 przesiedleńców, głównie z Wołynia, i 11 Reichsdeutschów. Trudno mi jest określić zdolności poszczególnych grup. Dzieci Reichsdeutschów wyróżniają się jedynie czystością. Dzieci powinny być schludne. Nawet w czasie wojny nie ma przydziałów na wodę.

Szeroko rozpowszechnioną cechą u dzieci jest donosicielstwo. Dzieci donoszą o najmniejszym głupstwie, które nie ma nawet najmniejszych cech przekroczenia. Zdolności dzieci są na ogół przeciętne. W ubiegłym roku było w klasie troje dzieci niedorozwiniętych, które pozostały na drugi rok w tej samej klasie. Dzieci pojmują naukę dość ciężko, toteż praca w szkole wymaga dużo cierpliwości ze strony nauczyciela.

Najwięcej kłopotów przysparza mi nauka języka ojczystego. Główną przeszkodą w opanowaniu języka niemieckiego jest fakt, że dzieci nie mówią nim w domu. Staram się więc jak mogę temu zaradzić. Oddaję dzieci Volksdeutschów pod opiekę dzieci Reichsdeutschów, aby choć w czasie zabawy i przygotowania do lekcji mówiły po niemiecku. Wykorzystuję również dla nauki języka lekcje gimnastyki, wycieczki i prace w ogródku szkolnym. Dzieci popełniają błędy w wymowie, spotykane zresztą u wszystkich niemal uczniów w Warthegau. „U" z przegłosem wymawiane jest tak jak „i" — na przykład nie wymawiają die Kühe, lecz die Kihe. „o" i „a" z przegłosem wymawiają jak „e", zamknięte „e" brzmi jak „e" — stąd nie wymawiają „Schnee" lecz „Schnej", nie wymawiają również „Stroh" lecz „Strou". Tragedia jest doprawdy z rodzajnikami! Uczniowie dostosowują do słów niemieckich rodzaje rzeczowników w języku polskim. Zasadnicze błędy popełniają również dzieci w składni".

Znamienny jest fragment sprawozdania poświęcony nauce geografii.

„Bardzo dużo uwagi poświęcam nauce geografii, która ma przecież zadanie zapoznania ucznia z niemiecką ojczyzną. Nauka ta również wyrabia przekonanie, że Führer ma rację, walcząc o powiększenie przestrzeni życiowej dla naszego narodu. Z innymi krajami zapoznaję klasę przy aktualnych wydarzeniach. Na przykład umarł car bułgarski Borys, a więc zapoznaję uczniów z Bułgarią. Na równi z Vaterlandem mówię o naszych koloniach. W nauce o koloniach przeciwstawiłam bezlitosnych i krwiożerczych Anglików niemieckim odkrywcom, badaczom i szerzycielom niemieckiej kultury i cywilizacji wśród zacofanych ludów. Za przykład mogą służyć tacy mężowie, jak Gustaw Nachtigal, Lüderitz, Carl Peters czy też Ohm Krüger. Podawałam jako przykład godny naśladowania życie gorącego patrioty Carla Petersa, który zajął dla nas Afrykę Wschodnią. Opisywałam również barwne życie farmerów w Niemieckiej Afryce Wschodniej.

Podkreślałam łączność naszej ojczyzny z dawnymi koloniami i wyjaśniałam konieczność odzyskania tych posiadłości dla wielkoniemieckiej gospodarki."

Tyle pani Maria Pollwein.

Aby oceny jej nie były gołosłowne, przytoczymy krótkie życiorysy cytowanych przez nią odkrywców i bohaterów. Sięgnijmy do encyklopedii „Lexikon" wyd. w 1957 r. w Lipsku.

„Carl Peters. 27. 9. 1856—10. 9. 1918. 1884 r. podbił terytorium późn. Niem. Afryki Wsch. Bestialskie metody w stosunku do tubylców spowodowały masowe protesty i pod ich presją został zwolniony ze stanowiska komisarza. W koloniach zyskał sobie przydomek „Petersa-Szubienicznika".

O Nachtigalu słyszymy ostatnio dużo gdyż był nawet patronem oddziałów pana Oberländera i jego władnego Stefana Bandery, zaś „Lexikon" mówi o nim: „Gustaw Nachtigal 23.2.1834 — 20.4. 1885.

W 1884 r. podbił Togo i Kamerun dla Rzeszy Niem."

Przekład i opracowanie

JANA JANISZEWSKIEGO

DANUTA TARCZYŃSKA

Ludzie z hotelu...

Hotele stanowią jakąś wydzieloną całość rządzoną na pierwszy rzut oka innymi prawami. Jest w nich coś ze szpitala — długie korytarze nakrapiane drzwiami separatek, cisza, dyskretnie poruszające się pokojowe — pielęgniarki codziennego życia. Jest w nich też coś z dalekiego świata: barwne nalepki na walizkach zagranicznych gości, kwiaty, komfort, usłużność, portier mówiący po angielsku, niemiecku, rosyjsku.

* * *

Hotele pociągają swoją egzotyką nie tylko dziennikarzy, ale i ludzi, którzy liczą na to, że za kilkadziesiąt złotych mogą tu przeżyć coś nieoczekiwanego. Mówi mi o tym jeden z mieszkańców łódzkiego Savoy'u.

— Tyle książek nosi w tytule słowo „hotel", tyle akcji powieściowych dzieje się w hotelach, że postanowiłem kilka dni urlopu tu właśnie spędzić. Może i mnie zdarzy się coś niecodziennego ?

Mój rozmówca nie jest turystą lecz poszukiwaczem przygód. Miasto go nie interesuje. Zresztą turyści w łódzkich hotelach, ze zrozumiałych względów, należą do rzadkich gości. Trzon lokatorów stanowią przede wszystkim przyjeżdżający służbowo, ekipy sportowe i naukowe, handlowe, zespoły artystyczne i... zakochane pary z innych miast.

„ZACHCIAŁO SIĘ PANNIE WILMIE"

Przyjeżdżają zwykle w sobotę po południu i zostają na niedzielę. Na ogół bywa tak, że ona przychodzi sama i wynajmuje sobie pokój. Po jakiejś godzinie przychodzi on, pyta czy taka pani już jest i skacze dziarsko na piętro. Wobec ruchu, który panuje w hotelu trudno stwierdzić czy wizyta została zakończona o przepisowej porze i czy mężczyzna w ogóle wyszedł z pokoju.

Pracownicy hoteli twierdzą, że tego rodzaju historie nie nastręczają im w pracy specjalnych trudności. Dwuznaczna treść jest doskonale maskowana i przez to trudna do uchwycenia. Gorzej natomiast z ludźmi, którym wydaje się, że hotel jest idealnym miejscem schadzek.

Pewien inspektor NIK-u przebywający niedawno służbowo w Łodzi „w pijanym widzie" sprowadził sobie do hotelu panią z ćwierćświatka. Kiedy portier zabronił jej wejść do pokoju pan inspektor urządził karczemną awanturę, która zakończyła by się interwencją milicji, gdyby córa Koryntu w porę nie umknęła.

Innym znowu razem pewien młody Anglik nie mógł zrozumieć dlaczego pracownik recepcji nie chce przyjąć czeku na 25 funtów za wynajęcie dwu pokoi — dla niego i „pszczółki".*) Typowo angielska kurtuazja. Nawet w tak jednoznacznej sytuacji prawdziwy gentelman dba o zachowanie pozorów, spędzali — proszę państwa noc w dwu różnych pokojach. Cóż, honor kobiety...

Obwarowania i zakazy istniejące w tej dziedzinie nie są dyktowane purytanizmem czy pseudo-moralnością. Jest to raczej konieczność zabezpieczania się przed tym, aby hotel nie stał się domem schadzek, nie był narażony na niepotrzebne przykrości i... wydatki. Stwierdzono bowiem, że jeśli w hotelu zdarzy się kradzież, to zwykle kilka godzin wcześniej w pokoju poszkodowanego była kobieta, której tożsamości w żaden sposób nie można ustalić. Takie właśnie okoliczności towarzyszyły kradzieży drogiego aparatu fotograficznego. Stratę poniósł zawodnik drużyny węgierskiej, sprowadzonej kilka lat temu przez „Start" do Łodzi.

A przedsiębiorstwo płaci za szkody.

KULISY PEWNEJ SPORTOWEJ KLĘSKI

Ze sportowcami zawsze jest sporo kłopotów. Młodzi, silni chłopcy skorzy są do kawałów. Przewlekanie pościeli na drugą stronę, przestawianie sprzętów i inne sztubackie psikusy są może zabawne, jednak męczące dla obsługi. Ale prawdziwe kłopoty zaczynają się dopiero wtedy, kiedy w hotelu instaluje się drużyna zwycięzka. Opowiedziano mi interesujące szczegóły jednego z ostatnich Wyścigów Pokoju...

Był to ów wyścig, w którym na przedostatnim etapie, w Łodzi, Polacy wygrali i zdobyli przewagę nad konkurencyjną drużyną niemiecką. Cóż za radość. Nasi byli w świetnej formie. Wszystko wskazywało na to,

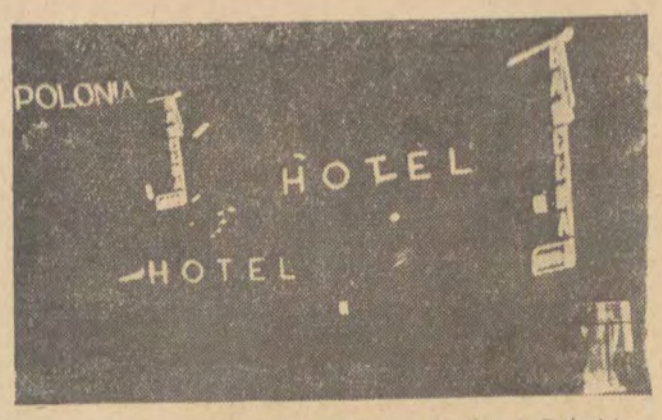

że na ostatnim etapie również odniesiemy sukces i w punktacji drużynowej zwyciężymy. Pierwsi przyjechali do hotelu Niemcy. Trenerzy podali im soki owocowe i szybko rozlokowali się po pokojach. Przystąpiono do koniecznych zabiegów. Kolację przyniesiono kolarzom do „numerów". Drużyna niemiecka odizolowała się od reszty zawodników, nabierała sił...

Polacy przyjechali trochę później — senni, bez opiekunów, zaaferowany portier pobiegł przynieść im coś do picia. Jako wytrawny kibic wiedział, że nie można podać wody. Wobec tego przydźwigał dzban wrzącego mleka, którego zawodnicy ze zrozumiałych względów nie mogli wypić.

A potem zaczęły się pełne radości manifestacje i wieczorne rodaków rozmowy. Po hotelu kręciły się tłumy wzruszonych krewnych, znajomych, rozmaitych kibiców i zafascynowanych dziewcząt. Hałas i tumult trwały do późnej nocy. Trenerzy drużyny niemieckiej kilkakrotnie prosili o ciszę i spokój...

Zawodowa dyskrecja moich informatorów nie pozwoliła im ujawnić szczegółów tej nocy. A wyniki ostatniego etapu i wielkie rozczarowanie przeżyliśmy wszyscy jednakowo.

HULAJ DUSZA, DOMU NIE MA...

„Tak można by powiedzieć o niektórych mieszkańcach hoteli. Poważni ojcowie, staranne matki, pedanci, którzy skrzywiony szewek pończochy uważają za dowód niechlujstwa — zmieniają się tu w hulaków, brudasów i wandali. Oddalenie od domu, od rodziny przeistacza błyskawicznie ich zasady moralne, sposób bycia i postępowania, wyzwala w nich instynkty, z których dotąd może i nie zdawali sobie sprawy.

Znane są późne powroty do hotelu rozbawionych, pod chmielonych starszych pań na odpowiedzialnych stanowiskach, które w swoim środowisku są zatwardziałymi moralistkami.

Pewien stateczny obywatel przez 5 dni pobytu w hotelu tak pił i „rozrabiał" że musiała interweniować milicja. Zaś ojciec trzyletniego chłopca, który kilkanaście dni przedtem sprawił lanie synkowi za porysowanie ścian ołówkiem, mieszkając w hotelu czyścił buty zasłoną okienną i wyciął scyzorykiem swoje inicjały na luksusowym, politurowanym stoliku.

Brak kultury, brak szacunku dla mienia społecznego, to obiektywna prawda o większości lokatorów hotelowych.

JAK W KALEJDOSKOPIE....

...zmieniają się ludzie zamieszkujący w hotelach. Jak w kalejdoskopie zmieniają się sytuacje i zdarzenia. Hotel jest rodzajem azylu, jest również miejscem w którym rozmaici ludzie próbują rozwiązać trudne sprawy własnego życia.

Pewna młoda dziewczyna z małego miasteczka uciekła z domu lękając się sensacji i konsekwencji moralno-obyczajowych. Niełatwo jest urodzić dziecko przed ślubem. Przyjechała do Łodzi.

W hotelu nie zorientowano się o co chodzi. Dopiero kiedy pokojowa usłyszała płacz noworodka, sprawa wyszła na jaw. Dziewczynę przewieziono do szpitala i umieszczono w Domu Opieki nad Matką i Dzieckiem.

Z pokoju hotelowego skorzystał również młody chłopak. Nieszczęśliwa miłość. 50 weramonów szybko wypłukano mu z żołądka, a jego rodzice uważają personel hotelowy za tych, którzy ocalili im dziecko.

Przez hotele przewijają się także różne typy przestępcze — począwszy od aferzystów dużej klasy a skończywszy na drobnych złodziejach — o karierach których dowiadujemy się potem z kronik sądowych.

W jednym z łódzkich hoteli wykryto niebezpieczną złodziejkę. Przez 5 dni pobytu dorobiła klucze do kilkunastu pokoi.

Tu również złapano mężczyznę, który kilka miesięcy przedtem skradł kilka tysięcy złotych z recepcji innego hotelu.

ŁÓDZKA RZECZYWISTOSC

Mamy w Łodzi tylko cztery hotele. Trzy miejskie: „Savoy", „Polonia", „Mały" i orbisowski „Grand-Hotel". Dysponują one około 1.000 łóżek. Brak więc 400 łóżek jeśli brać pod uwagę aktualne potrzeby naszego miasta. Łódź powoli staje się miastem (w pewnym sensie) turystycznym. Coraz częściej odwiedzają nas turyści zagraniczni: Amerykanie, Anglicy, Francuzi i Rosjanie; nie brakuje też i rodaków. Coraz częściej organizowane giełdy towarowe zwiększają napływ gości, którym trzeba zapewnić nocleg. A wolnych miejsc w hotelach brak. Dochodzi do tego, że w „sezonie hotelowym" tzn. cały rok z wyjątkiem lipca i sierpnia wszystkie pokoje są zajęte, ludzie w kolejce czekają na zwalniające się miejsca, a około 200 osób dziennie „z kwitkiem" odchodzi z recepcji. Ci zmuszeni są do korzystania z legalnych noclegów prywatnych, a często i z „dzikich" kwater, do których zapraszają „naganiacze" już na dworcu.

Trudności te w znacznej mierze rozwiąże projektowana w planie 5-letnim budowa nowego 400-łóżkowego hotelu na zapleczu ŁDK, którego gmach wytyczy nową ulicę łączącą ul. Sienkiewicza z ul. Kilińskiego. Jednakże przy dalszym rozwoju miasta obiekt ten nie zlikwiduje trudności noclegowych w sposób zasadniczy.

Rozwiązanie tych kłopotów mogłoby przynieść wybudowanie 1—2 domów noclegowych na wzór hoteli robotniczych, w których znalazłyby wygodne pomieszczenie ekipy montażowe, stanowiące do tej pory trzon lokatorów hoteli miejskich. Byłoby to posunięcie bardzo ekonomiczne. Zainteresowane instytucje (a jest ich na terenie Łodzi wiele) zamiast płacić olbrzymie sumy za pobyt fachowców w luksusowym hotelu, za zaoszczędzone pieniądze mogą wybudować własny hotel pracowniczy.

* * *

Ludzie przyjeżdżają, wyjeżdżają, a hotel zawsze gościnnie udziela schronienia.

Aż dziw bierze, że sucha definicja ze Słownika Wyrazów Obcych: „... budynek lub część budynków przeznaczona dla czasowego zakwaterowania przejezdnych..." — może zawierać tyle treści i prawdy o życiu.

DANUTA TARCZYŃSKA

SPÓR o WIKARIUSZA

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Dokończenie z póprzedniego numeru

Plebania w Bełchatowie posiada okazały budynek, zajmowany przez proboszcza, ówczesnego księdza dziekana N. oraz — wikarówkę osobny domek przeznaczony dla księży wikariuszy a zajmowany wówczas przez księdza G.

Spór pomiędzy wikariuszem a księdzem plebanem powstał o kobietę, która zwykle bywa kością niezgody między mężczyznami. Wikariusz chciał sprowadzić do Bełchatowa swą siostrę, która by się zajęła na wikarówce gospodarstwem, czemu w sposób stanowczy sprzeciwił się ksiądz-dziekan. Dlaczego proboszcz odmówił zgody, zwłaszcza, że wikariusz mieszkał w odrębnym budynku i nie zachodziła obawa emulacji względnie konfliktów pomiędzy gospodynią księdza proboszcza, a siostrą wikariusza? Ponadto warto zaznaczyć, że w myśl artykułów Kodeksu Kanonicznego — sytuacja, kiedy gospodarstwo księdza, celibatariusza, prowadzi jego siostra lub matka, jest uważane przez Kodeks Kanoniczny za idealną, wyłącza bowiem możliwość plotek, które już dość gruntownie ośmieszyły i księży proboszczów, i osławione księże gospodynie, brane przez złośliwych parafian chętnie na języki.

W tych warunkach nie powinno dziwić, że Rada Parafialna, a za nią wszyscy parafianie w Bełchatowie stanęli po stronie wikariusza, a przeciwko niepopularnemu księdzu proboszczowi, u którego trudniej było ponoć o audiencję niż w kurii biskupiej, i który jako dziekan i zwierzchnik paru parafii w powiecie uważał się za kogoś wyższego i przestrzegał w stosunku do swych owieczek arystokratycznego dystansu. Zresztą znawcy stosunków kościelnych twierdzą, że wierni zawsze trzymają stronę wikariuszy przeciwko proboszczom, co odpowiada powszechnym nastrojom w tym sensie, że młody jest zawsze milej widziany niż stary.

Spór o siostrę wikariusza rozpalił namiętności bełchatowskich parafian i doprowadził do nowego konfliktu. Rada Parafialna zażądała od proboszcza rozliczenia się z ofiar, które wierni składali hojnie na remont kościoła, a którego to remontu nie mogli się jakoś doczekać. Arystokratyczny proboszcz odrzucił dumnie żądania swych owieczek. Wysłano delegację, której proboszcz nie przyjął. Napięcie rosło. Parafianie domagali się rozliczenia grożąc, że w razie odmowy oni sami „rozliczą" księdza proboszcza. Wyniosły ksiądz N. zareagował na pogróżki prawdziwie arystokratycznym gestem. Zamknął się w plebanii i nie przyjmował nikogo. W Bełchatowie zawrzało. Ksiądz-dziekan zamknięty w swej „splendid isolation" nie został wszelako bierny i „działał w ukryciu". Upatrując w swym wikariuszu, który stał po stronie parafian sprawcę podżegającego owieczki do buntu, wystarał się w łódzkiej kurii biskupiej, w której posiadał jak powiadają, stosunki o suspensę czyli zawieszenie krnąbrnego wikariusza w czynnościach kapłańskich.

I oto w mroźną, styczniową niedzielę na porannej mszy padły z ambony (któraś, jak wiemy, nieraz już służyła naszemu duchowieństwu do różnych rozgrywek politycznych i społecznych) sakramentalne słowa: „Podaje się do wiadomości, że ksiądz G. został zawieszony w czynnościach kapłańskich"...

Wzburzenie wśród parafian doszło do szczytu. Ksiądz wikariusz G. stał pod chórem i płakał, a razem z nim łkały tłumy. Na sumie kościół nie mógł pomieścić żądnych sensacji mieszkańców Bełchatowa. I gdy przed kazaniem arystokratyczny ksiądz proboszcz N. usiłował po raz drugi odczytać wyrok kurii biskupiej na wikariusza, podniosła się w świątyni nieopisana wrzawa, zgiełk, hałas, tumult.

— To taka sprawiedliwość — wołano. — Hańba.

Ksiądz dziekan nie zważając na nic czytał mężnie dalej. Wówczas wierni zaczęli śpiewać: „Kto się w opiekę", ksiądz jak niepyszny musiał opuścić ambonę, nabożeństwo zostało przerwane.

Ciąg dalszy, heroikomiczny, godny jest jakiejś współczesnej „Monachomachii". Jak to pisał książę biskup warmiński Ignacy Krasicki? **„Lecą sandały, i trepki, i pasy, wrzawa powszechna przeraża i głuszy".** Oblężony przez tłum, otaczający kościół i plebanię, ksiądz dziekan N. zatelefonował do miejscowego przedstawiciela władzy ludowej Przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej, z prośbą o interwencję i pomoc.

Na wezwanie telefoniczne przyjechały z Piotrkowa dwie ciężarówki z milicją obywatelską i na ich widok tłum złożony z 800 osób rozszedł się do domów.

REZULTAT STYCZNIOWEJ REWOLUCJI

Następstwa trzeba oceniać biorąc pod uwagę momenty indywidualne i zbiorowe. Zasuspendowany wikariusz G. jeździł do kurii biskupiej i arcybiskupiej starając się przedstawić swoje racje. W kurii biskupiej nie udało mu się przekonać nikogo o słuszności swej sprawy, zaś do księdza prymasa ksiądz „rewolucjonista" nie został dopuszczony. Z rozpaczy i oburzenia na niesprawiedliwość zwierzchności zdjął sukienkę i od nowego roku akademickiego zapisał się na Wydział Filologiczny jednego z uniwersytetów w Polsce. Po ukończeniu studiów zamierza poświęcić się pracy nauczycielskiej w szkołach średnich. W Bełchatowie opinia miejscowych parafian zamyka się w lakonicznym stwierdzeniu, że ksiądz G. „został złamany" przez proboszcza N. którego zresztą po niesławnych bojach przed plebanią kuria biskupia przeniosła do jakiejś podrzędnej parafii.

Oczywiście, że konflikt na plebanii mimo swej sensacyjności jest nieznacznym fragmentem tych przemian które dzieją się w tzw. „terenie". Jest cały szereg instytucji, które wywierają swój wpływ na kształtowanie się postawy przeciętnego obywatela. W Bełchatowie oprócz spółdzielni pracy „Czyn Majowy" istnieją Bełchatowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego, które się rozbudowują. Obecnie dobiega końca budowa Nowej Tkalni — dumy i nadziei Bełchatowa. Podaż rąk do pracy jest wciąż duża. Sprawę naboru do pracy, do fabryk w Łodzi i w Pabianicach załatwiano w Bełchatowie, a raczej — w powiecie bełchatowskim w drodze skomplikowanego harmonogramu przejazdów samochodami ciężarowymi do zakładów pracy. Ciężarówki obracały parę razy dziennie przywożąc jedną partię ze wsi do fabryki i odwożąc drugą do domów. Młodzież pchała się do przemysłu, urzeczona nowymi perspektywami.

Dobre jest to, że wyszło zarządzenie o przymusowym dokształcaniu. Nie masz bracie siedmiu oddziałów, jazda z pracy do nauki w myśl hasła, „Polska krajem ludzi kształcących się".

Cała robota spadła na Inspektoraty Szkolne, bo zakłady przemysłowe nie mogły sobie poradzić z organizacją kursów dokształcających, harmonogramy wyjazdów pokiełbasiły się im z harmonogramem godzin nauczania, musieli zacząć z żalem dla siebie i dla młodzieży, a ze szkodą dla fabryk zwalniać. A młodzież garnęła się i garnie do nauki, żeby zdobyć chociaż te siedem oddziałów i móc pracować w fabryce. Z początku mieli w pow. bełchatowskim dwie szkoły dla pracujących i pięć kursów dla dorosłych. Teraz mają dziesięć szkół i szesnaście kursów. Za młodzieżą idą starsi. Inspektoraty zagarniają w swoją sieć ludzi chroniąc ich przed obskuranckimi wpływami kleru.

Fot. Z. Walter

Jeden z zastępców Inspektora szkolnego w Bełchatowie jest przewodniczącym miejscowego Towarzystwa Szkoły Świeckiej. Otóż inspektor odnotował znaczny wzrost ilości członków Towarzystwa. Za nim przyszły inne. Komitet rodzicielski jednej ze szkół w powiecie zażądał przeniesienia nauczania religii ze szkoły do punktu katechetycznego. W innej wsi znany ze swej postawy laickiej i źle widziany przez wieś nauczyciel zdołał zorganizować szkołę dla pracujących o wybitnie laickim charakterze. Przykłady można by mnożyć. Dopiero na tym ogólnym tle można ustawić we właściwej proporcji konflikt plebański.

Antynikotyn i antykultura

Dalszy ciąg ze str. 1

wo-popularyzatorskim. W tym miejscu trzeba by uzgodnić zakresy. W zasadzie przecież mówi się o kulturze i o nauce jako o dwóch niezależnych od siebie choć wzajemnie uzupełniających się dyscyplinach. Nauka tedy mniej by nas tu interesowała, jednakże nie sposób jej pominąć, jako że zajmuje w „Panoramie" poczesne miejsce. Wykroczenie przeciw systematyce zagadnień jest tutaj jednak grzechem powszednim. Artykuł na temat szkodliwości nikotyny (sprawy to kulturalne czy nie?) sąsiaduje z rozważaniami na temat „Czy Marsjanie budowali sputniki „oraz z enuncjacją pt. „Bassari — dzikie plemię z NEGARE". Skądinąd to, co nazwałem wykroczeniem przeciw systematyce zagadnień, uatrakcyjnia być może „Panoramę". Zapewne jednak zgodzić się należy, że sputnik odpowiada bardziej „wspólnemu kodowi problemowemu" aniżeli uwagi na temat plemienia Bassari.

Podróżujący dziennikarz poczuwa się w obowiązku podzielić się z czytelnikami swoimi wrażeniami z podróży czy też swoją wiedzą najczęściej zdobytą naprędce o odwiedzanym kraju. Tworząc surogat turystyki rzeczywistej drukuje się w „Panoramie" częstokroć artykuły o charakterze właśnie geograficznym. Można mówić nawet o pewnej przewadze tego materiału w połączeniu z materiałem historycznym czy geologicznym, które same w sobie będąc interesującymi, nie stanowią przecież większego wkładu w zrozumienie trudnych zagadnień współczesnej kultury. A właśnie na tym terenie czyhają na dziennikarza liczne niebezpieczeństwa.

Poszukiwanie naczelnej tendencji w sprawach kultury na łamach „Dziennika" (tendencji w tym rozumieniu jak to wygląda na przykład w „Trybunie Ludu") jest w istocie rzeczy zajęciem dość niewdzięcznym. Tendencja taka, na dobrą sprawę, nie istnieje. „Panorama" co prawda drukuje niekiedy cykle artykułów kształcących zmysł estetyczny czytelnika (np. cykl pt. „Barwy czasu") czy też atrakcyjny cykl na temat „Miłości stare jak świat", prócz tego jednak znakomitą większość artykułów stanowią rzeczy, jak wyżej wspomniałem traktujące o problemach geografii, geologii, archeologii itd. Od pewnego już czasu rzadkością jest artykuł na temat bieżącej produkcji literackiej. Zniknęły recenzje z poszczególnych pozycji książkowych. Jeżeli się pojawiają uwagi, na ten temat — noszą charakter przypadkowy w sensie, oczywiście, wyboru (kryterium głównym i dosyć zresztą zrozumiałym jest „łódzkość" czy też „niełódzkość" danego autora).

Tak więc w tych sprawach zarzucono na oczy czytelnika olbrzymią, nieprzeniknioną zasłonę spoza której niekiedy wyłania się jakiś jaśniejszy promień wskazujący na to, że sztuka jeszcze nie wymarła. Cóż mówię? Sztuka ma się całkiem nieźle. Już od dawna (właściwie to nie pamiętam od kiedy) nie czytałem tutaj recenzji teatralnej, która krytykowałaby jakąś realizację sceniczną, stosując przy tym w odniesieniu do czytelnika zasadę dydaktyzmu — a więc recenzji, która ganiąc czy, powiedzmy już, chwaląc nagminnie i permanentnie, jak się to na łamach tego pisma praktykuje, uczyła patrzeć na teatr w sposób właściwy. Właściwy a więc nie tylko taki, który uczyłby szacunku dla cudzej pracy. W jednym z felietonów w „Dzienniku Łódzkim" wspomina się, że niewłaściwe reakcje na widowni w teatrze mają swoją przyczynę w braku poszanowania dla cudzej pracy.

Wydaje mi się, iż przyczyną bardziej tutaj znaczącą jest fakt małej niejednokrotnie dojrzałości, małego przygotowania widza do odbierania spektaklów teatralnych. W „Dzienniku Łódzkim" przedstawienia teatralne z reguły bywają dobre, tylko widzowie niekiedy prymitywni. Może się mylę? Czytelnik „Dziennika Łódzkiego" nie jest przecież „bynajmniej prymitywny". Czytelnik ten został zbadany systemem ankiet i systemem zbierania opinii, co pozwoliło między innymi ustalić profil i charakter „Panoramy" (patrz artykuł pt. „A to w Łodzi" z dnia 24. V. 1960 r.)

Wnioskując więc ex post o tymże czytelniku możemy powiedzieć, że jest to naukowiec cierpiący na zanik pamięci. Skąd konieczność przypominania całego szeregu zagadnień naukowych. Jest to naukowiec, który skądinąd lubi popatrzeć na biust Sophii Loren czy innej gwiazdy. Tak więc „Panorama" lansuje w pewnym sensie typ kultury elitarnej. Wolno jej tak czynić, albowiem zawsze potrafi nam udowodnić ankietą, że jej czytelnik tego właśnie potrzebuje. Świadomość przemawiania do czytelnika dobrze wtajemniczonego pozwala więc „Dziennikowi" (bo nie tylko „Panoramie") na posługiwanie się następującym typem języka: **„Dostojewski demonizował człowieka, Tołstoj (zwłaszcza w swym późniejszym okresie) ustawiał ludzkie działanie w wymiarze mistycznym..."** („W setną rocznicę urodzin Czechowa" — 28. I. 1960 r.).

Wolne żarty. Nie chodzi przecież o ustalenie czy stwierdzanie prymitywizmu lub też nieprymitywizmu czytelnika. Nie jest on, ten czytelnik, z pewnością ani tak mądry, ani tak głupi za jakiego można by go brać. Sam termin zresztą nam się nie podoba. Pod opinią czytelnik „bynajmniej nie prymitywny" można wiele zmieścić i wiele podstawić, z wtórnym analfabetą włącznie. (Słuchając głośnej lektury artykułu np. o szkodliwości nikotyny wyrzuciłby z ust zapalonego papierosa i przysiągłby sobie, że nigdy już nie będzie palić).

Deklaracje są zaś okrągłe i zachęcające. Oto jedna z nich wyrażona w komentarzu do artykułu pt. „Co kogo boli — Widzew — rogatka kulturalna". Wracamy tu do poglądu reprezentowanego już przez „Dziennik Łódzki", że koncepcja rozwojowa tego, co nazywamy kulturą masową, nie leży w podsuwaniu ludziom w zakładach pracy i pod drzwi domu różnego rodzaju występów i nie zawsze najlepszych imprez, lecz propagowaniu dobrego teatru, dobrego koncertu, filmu i odczytu, tak, by ludzie chcieli je obejrzeć i w nich uczestniczyć. W przeciwnym wypadku dzieje się tak, iż jeśli zakład pracy nie zorganizuje zbiorowej wycieczki do teatru, to pracownik nie bywa w nim przez okrągły rok. Nie sposób nie przyznać racji tym stwierdzeniom. Podpisujemy się pod nimi oburącz.

Cóż jednak implikuje tego typu dekleracja? Zobowiązuje na pewno do akcji natury dydaktycznej, akcji obejmującej kształcenie odbiorców. Popularyzacja dobrego teatru winna odbywać się także drogą swoistej edukacji czytelnika, który powinien wiedzieć dlaczego to jest zły teatr, który nie dałby się zwieźć urokom melodramatu, który potrafiłby skomplikowany niejednokrotnie język recenzji teatralnej skonfrontować z własnym odczuwaniem, widzeniem, oceną wreszcie zobaczonego przedstawienia.

Aby taki stan rzeczy stał się faktem, dziennikarz piszący recenzję winien mieć przeświadczenie, że jego stwierdzenia są zrozumiałe dla czytelnika, że posługują się wspólnym kodem. Skąd jednak można mieć taką pewność, jeśli pisze się w sposób następujący: **„Współczesność problematyki sztuki idzie w parze z nowoczesnością jej dramatycznej formy, przy czym autor wprowadza pewne artystyczne chwyty z konwencji teatru ekspresjonistycznego"** (recenzja ze „Śmierci komiwojażera" — 11. II. 60.) Chcę być dobrze zrozumiany. Powyższe zdanie jest słuszne i poprawne w warstwie zarówno znaczeniowej, jak i formalnej. Może jednak być straszakiem dla czytelnika nieobznajomionego z przedmiotem, można odesłać czytelnika do słownika wyrazów obcych czy encyklopedii i dalej pisać posługując się zawiłą terminologią. Czytelnik „bynajmniej nie prymitywny" nie zawsze jednak uzyskuje potrzebną wiedzę na drodze wertowania słowników i encyklopedii. Czasami pomocną winna mu być jego gazeta. Jeżeli potępia się w jednym z artykułów pośrednio awangardowe eksperymenty oraz sztukom klasycznym przeciwstawia sztuki „rozrywkowe", lżejsze (patrz: Teatr Ziemi Łódzkiej pracuje coraz lepiej" z dnia 27. I. 60.), to dobrze byłoby bliżej powiedzieć, co to za diabeł, te awangardowe eksperymenty. Orientacji na realizm przedstawienia teatralnego przeciwstawia się orientację na awangardę, o której czytelnik może mieć fałszywe pojęcie. Ta awangarda stanie się w ten sposób tabu, lecz czy w pełni na to zasługuje?

Być może język recenzji teatralnej w prasie codziennej powinien być językiem w miarę powszechnym, językiem dwóch wrażliwych rozmówców, unikających przy tym trudnych sformułowań. Nie chodzi, rzecz oczywista, o równanie w dół. Idzie właśnie o problem maksymalnego porozumienia się. Jednolity powiedziałbym monotonny i pobłażliwy, typ recenzji teatralnych i filmowych zakłada jakieś statis intelektualne czytelnika, które określa go jednoznacznie, zamykając w jakimś niezmiennym sposobie odczuwania spektaklu teatralnego czy filmu lub może raczej przypisując mu taki właśnie sposób odczuwania. Nie jest to chyba dobrze, albowiem czytelnik z pewnością rozwija się.

„Dziennik Łódzki" przyzwyczaja, chcąc nie chcąc, swego czytelnika do swoistej peryferyjności w sprawach kultury. Omija problemy centralne. Stwarza formuły zastępcze dla zjawisk, które powinny żywo obchodzić każdego czytelnika. Postuluje swój program nie nazwawszy go po imieniu. Pragniemy się domyślać, że chodzi tu o kulturę masową. Cóż jednak o niej stanowi? Nie rozważania o plemionach afrykańskich. Nie wywiady przeprowadzane z primaballerinami. Nawet nie rozważania o nikotynie.

Nie negujmy sporadycznej przydatności i funkcji tych spraw. Trudno się jednak zgodzić z faktem, że zajmują one miejsce nazbyt obszerne kosztem dyskryminacji np. prawdziwej literatury czy publikacji o prawdziwej literaturze. I o prawdziwej sztuce, która nie jest ani plotką ani nawet efektowną rozmową z miejscowym luminarzem — artystą. A takie bywają czasami formuły zastępcze „Dziennika". Nie zapominajmy o pozytywach. Są i one niewątpliwie. Są też szlachetne intencje, które mogą stać się faktem. Sprawy to, jako się rzekło na początku, bardzo trudne, ale też w związku z tym więcej serca, więcej troski, i być może, więcej inwencji, wymagające.

WŁ. KRYSIŃSKI

Artykułem Włodzimierza Krysińskiego rozpoczynamy cykl publikacji, które poświęcone będą rozważaniom nad problematyką życia kulturalnego w naszym mieście. Pragniemy przedyskutować wzorce kulturowe, proponowane przez łódzką prasę, radio, telewizję i niektóre instytucje, zajmujące się propagowaniem i rozpowszechnianiem książek, muzyki, filmów itd. Pragniemy także przedstawić — przynajmniej cząstkowo — nasz pogląd na sprawy, związane z upowszechnianiem kultury. Nasi autorzy nie chcieliby jednak zastrzegać sobie prawa do wyłączności ocen. Prosimy więc wszystkich zainteresowanych o zabieranie głosu, o listy i wypowiedzi.

REDAKCJA

Sewerym Butrym wygłaszający tekst Sokratesa
Foto: W. Rozmysłowicz

LEOPOLD BECK

POŻEGNANIE Dejmka z Dejmkiem

Łodzi przybyła nowa scena — Mała Sala Teatru Nowego. Dwieście z hakiem miejsc i w ogóle bombonierka. A w ciągu kilku dni aż trzy premiery: „Obrona Sokratesa", zmontowana z tekstów Platona, „Judyta" Peyret-Chappuis i „Człowiek z głową" Warmińskiego. Wszystko w reżyserii Kazimierza Dejmka. Z trzech pozycji — dwie prapremiery: „Obrona Sokratesa", jeżeli abstrahujemy od wykonania radiowego w 1936 r., z Jaracem jako Sokratesem, „Człowiek z głową" starego dejmkowca — Warmińskiego. Zostaje jeszcze „Judyta". Ale i ten spektakl jest w Polsce pierwszą próbą inscenizacyjną od lat piętnastu.

Mała scena? Owszem, mamy prawo zapytać. Ale wia domo, że trzeba się uczyć. Od ojców w ogóle, a od ojców nowoczesnego teatru w szczególności. Jakie cele stawiali sobie oni, ojcowie, otwierając przy wielkich scenach, którymi władali, drugie — małe, kameralne? Mamona, dla niektórych prawdziwa muza teatru, odgrywała w latach dwudziestych niemałą rolę przy wielu takich przedsięwzięciach. W czasie prosperity teatralnej europejskich stolic powodzenie teatru — matki zapewniało z reguły powodzenie teatru — baby (co nie ma nic wspólnego z naszą polską babą, lecz tylko z oseskiem angielskim — czytaj „bejbi"). Zafundowanie sobie sceny kameralnej lub lilipuciej — przy finansowym wsparciu jakiegoś mecenasa — należało wówczas do bontonu dyrektorskiego. High life, symulujący elitę intelektualną, był — dzięki wysokim cenom biletów — sam ze sobą w teatrzyku, zredukowanym do rozmiarów dworskich, w niektórych przypadkach sam ze sobą nawet w prawdziwym, zabytkowym teatrzyku dworskim. Ale to dawno i nieprawda. Kto by tam wspominał — na przykład — o zamierzchłych czasach reinhardtowskich i kto zna dziś miliardera jednego sezonu giełdowego i natrętnego mecenasa sztuki Castiglioni'ego?

W latach dwudziestych bywało również tak, że tu i tam w Europie nie pozwalano na głoszenie niepożądanych treści przed wielką publicznością. Patrzono jednak na to przez palce, gdy głosiciele tych treści, autorzy i aktorzy zeszli do podziemia. I to dosłownie, bo do piwnic. Ale nie wszystkie małe sceny powstały (jako samodzielne, niezależne imprezy) z wymienionej przyczyny. Inflacja teatrzyków miniaturowych, o objętości do 49 miejsc włącznie, „piwnic" lub „pięterek" rozpoczęła się w pewnej zachodnioeuropejskiej stolicy z przyczyn zgoła innych, tworząc modę, rozszerzającą się na całą Europę. W obliczu bezrobocia, młodzież aktorska wespół z amatorami otwierała własne scenki — na „działówkę". Ponieważ jednak od 50 miejsc na widowni wymagana była koncesja, nieosiągalna dla młodzieży, grała ona, gdzie można było grać bez koncesji — w salach na 49 miejsc, przeważnie w suterenach lub na pięterkach kawiarń. Tam powstawały programy rzędu światoburczych. I to bynajmniej nie tylko dzięki przekonaniom autorów, ale i z powodów materialnych: suterena i pięterko nie mogły, chociaż usiłowały, konkurować z wielką sceną rozrywkową i musiały starać się o widza, który czegoś innego szukał niż tego czego dostarczała koncesjonowana scena. Mała scena bez koncesji nie cierpiała koncesji ideowych.

A jak u nas?

Faktura ideowa „Człowieka z głową", jeśli tak powiedzieć można, jest inna, niż — na przykład — „Łaźni" chociaż ta sama, co „Kuglarzy". Tymi dwiema pozycjami Dejmek pożegnał się z Dejmkiem. Mamy nadzieję, że nie na długi czas.

Nie, wcale nie jesteśmy przeciwko wystawianiu takiego rodzaju sztuk — na przykład w Teatrze 7.15. Przy czym pożądane jest, by widz nie miał wątpliwości, czyją karykaturę ogląda. Ba, jesteśmy za Warmińskim, chociaż „Człowiek z głową" jest — przepraszam — trochę bez głowy skonstruowany: po pierwszym akcie, beczce śmiechu, komedia nie narasta, ale upada, trzeci akt niżej drugiego. I jesteśmy za Warmińskim chociaż już z tego powodu, że dał aktorom możliwość popisu: Bohdanie Majdzie, Marii Białobrzeskiej, Marii Góreckiej, Hannie Bedryńskiej (z wykrzyknikiem!) Januszowi Kubickiemu, Sewerynowi Butrymowi i Michałowi Pawlickiemu. To nie lada sztuka grać na zmianę Sokratesa lub Hamleta i hochsztaplera.

Stoimy więc jak mur za „Człowiekiem z głową", o ile jest zainscenizowany we właściwej tonacji ideowej, a jesteśmy przeciwko Dejmkowi jako realizatorowi komedii tego rodzaju. (Bo niby po co objął drugi stary dejmkowiec, Janusz Kłosiński kierownictwo artystyczne Teatru 7.15?)

Jak informują wtajemniczeni, cykl dotychczasowych inscenizacji dejmkowskich

zakładał jakoby jeden główny temat: człowiek i władza. Za bardzo dumni jesteśmy z Teatru Nowego, by wierzyć, że „Człowiek z głową" był zamierzony jako wesoły wariant tego tematu. I nie chodzi nam o nomenklaturę, ale o to, czy u nas hochsztaplerzy mają możliwość działania tylko do pewnego szczebla, a nie powyżej. Nie o poszczególne słowa chodzi, lecz o sposób zawodzenia tej pieśni.

Mała Scena istniała i przed tem, na drugim piętrze — w sali dawnej malarni, przystosowanej doraźnie do użytku publiczności. Obecnie przekształcona została na normalną salę teatralną — z wejściem od ul. Wólczańskiej. Myśl o stworzeniu Małej Sceny (informuje nas dalej biuletyn PTN) powstała w sezonie 1955-56 pod czas prac tzw. Studio. Tak nazwano cotygodniowe spotkania wszystkich chętnych i dysponujących czasem aktorów. Po spektaklu do późnych godzin nocnych recytowano wiersze, omawiając ich wykonanie, przygotowywano ulubione sceny z wymarzonych ról i sztuk, śpiewano schillerowskie piosenki i prowadzono „długie nocne rodaków rozmowy" o polityce, sztuce i teatrze.

„Repertuar Małej Sceny opierać się będzie na sztukach typu kameralnego, sztukach „psychologicznych" o określonej konwencji literackiej i dramatycznej. „Normalny" repertuar nie uwzględnia w zasadzie pozycji tego rodzaju. Wydaje się rzeczą konieczną umożliwić aktorom pracę nad takimi utworami, co z pewnością poszerzy ich umiejętności i wzbogaci zakres środków artystycznych". „Dom kobiet" Zofii Nałkowskiej. była pierwszą premierą Małej Sceny, drugą — „Most" Jerzego Szaniawskiego. (Patrz: Biuletyn PTN, Sezon 57-58, Nr 5).

Rzecz w tym, że scena kameralna jest sprawą pochodną, jej zasadą zaś — **dramaturgia kameralna,** to znaczy ten rodzaj sztuk małoobsadowych, których intymna atmosfera sięgać może do jakiegoś tam bliskiego rzędu, lecz nigdy do wszystkich miejsc dużej sali. Więc **teatr niuansów** — tekstowych, aktorskich i reżyserskich subtelności. Ale oprócz tego — **laboratorium eksperymentatorów,** pole działania maniaków — w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Na takich scenach młodzież aktorska, w teatrze gwiazdorskim skazana na długoletnią cierpliwość, otrzymała możność awansu do rangi artysty — a początkujący dramaturg możliwość debiutu. Na takich scenach powstał **teatr poetycki i recytatorski.** Zatem: „Obrona Sokratesa" to nie jest to jakiś anty — teatr, nowinkarstwo, jak pisał w „Trybunie Ludu" Roman Szydłowski, lecz **wielki uznania godny przypadek teatru recytatorskiego,** znanego od dawna. Dramaturgia duetu, tercetu recytatorskiego opierała się i przed Dejmkiem na wielkich dziełach **nie — dramaturgicznych** (np. w Teatrze Rapsodycznym w Krakowie). „Obrona Sokratesa" jest więc powrotem Dejmka do Dejmka.

A może nie? Może mamy tu do czynienia ze szczególnym przypadkiem rozdwojenia, mianowicie: na dużej scenie **teatr inscenizatorski,** w którym „gwiazdorem" jest realizator, a nie aktor, na małej scenie zaś — **teatr** czysto **aktorski,** w którym realizator pozostaje wobec aktora tylko w stosunku służebnym. Wystawienie „Obrony Sokratesa" z Butrymem i „Judyty" z Zofią Petri oraz Tadeuszem Mincem świadczyłoby o tym że na **Małej Scenie** Teatru Nowego hegemonia przypadła **aktorstwu, miast inscenizatorowi.** A więc znowu pożegnanie Dejmka — inscenizatora z Dejmkiem — ale, mamy nadzieję, tylko przed wejściem na Małą Salę...

Nie, to nie takie proste, jak sobie te sprawy wyobraża mój stary i najlepszy przyjaciel widz...

LEOPOLD BECK

BAEDEKER łódzkich instytutów naukowych I

...„KRĘĆ SIĘ KRĘĆ WRZECIONO, WIĆ SIĘ TOBIE WIĆ..." — ŚPIEWAŁY NASZE BABCIE W SENTYMENTALNEJ PIOSENCE O PRZĄŚNICZKACH.

NIĆ SIĘ PRZĘDŁA, NAWIJAŁA SPOKOJNIE NA KOŁOWROTEK. Z DNI I TYGODNI PRZĘDŁY SIĘ LATA I UTKAŁY NASZĄ EPOKĘ.

NIE MA PRZĄŚNICZEK I KOŁOWROTKÓW. JEST — INSTYTUT WŁÓKIENNICTWA, ALMA MATER TEGO PRZEMYSŁU.

IRENA DRYLL

ALMA MATER WŁÓKIENNICTWA

PUNKT WYJŚCIA

I wyłonił się z powojennego chaosu 15 lat temu. Miał do zrobienia kawał roboty: przemysł włókienniczy był zacofany jak rzadko który, opierał się na majstrach. Inżynierów przed wojną było mało (nie mieliśmy wyższej uczelni kształcącej włókienników), po wojnie — — jeszcze mniej.

Cała włókiennicza wiedza brana była z Zachodu lub Wschodu. Nasza rodzima miała się dopiero wykluwać.

W produkcji nowych rodzajów włókien i technologii światowa nauka i technika włókiennicza zrobiła ogromny skok, któremu trzeba było (i wciąż jeszcze trzeba) dorównać.

Dobre intencje, kilku pracowników, prowizoryczna aparatura — z jednej strony, i ogrom zadań — z drugiej to był punkt wyjścia działalności Instytutu Włókienniczego.

W ciągu 10 lat (1948—1958) IW przekazał 1068 prac naukowo-badawczych do przemysłu.

W IW pracuje 189 pracowników inżynieryjno-technicznych i umysłowych. W tym 6 osób — 15 lat, 39 osób — ponad 10 lat. Wszystkich pracowników ma IW 267.

GRA WARTA ŚWIECZKI

Teren podbojów Instytutu jest dzisiaj ten sam co i przed 15-tu laty — włókiennictwo, a więc: *przemysł bawełniany, wełniany, lniarsko-konopny, jutowy, jedwabniczy, dziewiarski, filcowy i tkanin technicznych.* Ten sam oręż — prace naukowo-badawcze.

Niektóre obszary zostały już zdobyte. W ślad za zwycięzcami wdarły się, — *nowe metody badania włókien, przędzy i wyrobów włókienniczych, metody kontroli jakości produkcji* nieznane w historii polskiego włókiennictwa.

Z wielkimi oporami, zdołano po raz pierwszy w historii podbitych „obszarów" wprowadzić częściową automatyzację niektórych procesów technologicznych (np. procesu naftalowania, dozowanie podchlorynu sodu w procesie bielenia tkanin, regulacji wilgotności w procesie bielenia osnów itd.).

Chodzi o to, żeby podbić przestarzałe włókiennictwo nowymi metodami produkcji, wprowadzić nowe surowce i technologie. Podboju podjął się Instytut Włókiennictwa. I to jest naprawdę walka. Wysoka gra, w której stawką jest nowoczesny, na światowym poziomie przemysł włókienniczy, zadowolenie pracowników i odbiorców.

WYŁOM DOKONANY

Instytut Włókienniczy mieści się na Gdańskiej przy rogu Andrzeja. Wyczuwalna na każdym kroku atmosfera badań, doświadczeń, żmudnych pomiarów i wyliczeń upodabnia go do szeregu innych placówek badawczych. I trzeba sobie w duchu powtarzać — *tu rodzi się nauka, która ma zaledwie piętnastoletnie w Polsce tradycje, dopiero niedawno ta biała przędza stała się przedmiotem naukowych dociekań, aby zrozumieć, że mamy do czynienia z młodziutką i specyficzną placówką naukową.*

Setki skomplikowanych aparatów i urządzeń wypełnia 200 pokoi Instytutu. Niektóre przypominają wyposażeniem miniaturowe hale fabryczne.

2 samodzielnych pracowników nauki, 34 adiunktów, 22 starszych asystentów i 19 asystentów — to trzon instytutowej kadry.

Kursy laborantów metrologii włókienniczej organizowane przez IW dla przemysłu skończyło 368 osób, starszych laborantów — 306 osób.

„Opracowanie zasad mieszania cienkich włókien poliestrowych z wełną..."

„Opracowanie ciągłej metody wytwarzania przędzy kędzierzawionej..."

„Opracowanie metody bielenia tkanin chlorynami..."

„Opracowanie nowej metody sprzęgania naftoelanów z dwuazozwiązkami w obecności środków powierzchniowo-czynnych, dające poważne efekty ekonomiczne..."

No cóż, setki podobnie brzmiących tematów, opracowanych przez Instytut nic laikowi nie mówią. Życie okazuje się pełne paradoksów i dla Instytutu. Pracuje on przecież dla najbardziej efektownego przemysłu, dla włókiennictwa, którego wyroby pod postacią firanek, dywanów, obić meblowych, tkanin na suknie i garniturów, przyciągają wzrok na każdym kroku.

Nieefektowne nazwy tematów zamieniają się w bardzo efektowne produkty „za którymi" stoi się w kolejce.

Kontakty z zagranicą zaczęły się od 1955 r. kiedy to dyrekcja IW przekonała odpowiednie komórki w MPL o konieczności takich kontaktów. Od 1955 r. do 1959 r. było w IW 55 wyjazdów zagranicznych.

Wyłom został dokonany. Szereg zupełnie nowych znanych dotychczas z komisów, lub nieznanych w ogóle asortymentów, odznaczających się większą przydatnością, trwałością i efektownością od tradycyjnych — jest już na rynku. Z roku na rok będą przybywać nowe, opracowane wspólnie przez IW i przemysł. Na przykład niegniotące się utrzymujące wieczne pliszy i kanty tkaniny elanowe, tkaniny wodoodporne, moloodporne itd.

Symbol możliwości Instytutu Włókienniczego może stanowić jeden z tematów przewidzianych do opracowania w przeciągu najbliższych lat — *włóknina. To będzie prawdziwa rewolucja we włókiennictwie; otrzymamy wyroby których wytwarzanie opiera się na zupełnie nieznanej w Polsce technologii.* Klejenie zastąpi tkanie. W 1965 r. będziemy chodzić w klejonych sukniach i garniturach.

GUZIK Z PERSPEKTYWĄ

Cechą opracowań, którą chwali się IW i za którą chwalą IW, jest kompleksowość i perspektywiczność. *Od badania możliwości technicznych, poprzez procesy technologiczne, asortyment, aż do badania wartości użytkowej* — toczy się praca nad każdą nowością. Czyim? Z czego? Jak? Po co? — daną rzecz zrobić, na te pytania odpowiadają pracownicy IW.

Takie założenia stara się zresztą realizować każdy pracownik IW. Tak więc jeżeli już jakaś nowa tkanina jest gotowa i uszyje się z niej garnitur to musi ją wypróbować na własnej skórze pracownik Instytutu. W książeczce kontroli użytkowania wpisuje się, w jakich warunkach i ile godzin go nosił. Co tydzień panie z pracowni badań użytkowych IW, przeglądają garnitur, badając stopień zużycia odporność na różne czynniki itd. Każą meldować nawet o tym, że oderwał się „sekretny" guziczek. Patrzą bowiem z perspektywy przyszłego klienta...

Pracownia metrologii

20 TYSIĘCY KONTAKTÓW

Warunkiem sine qua non istnienia i przydatności IW jest ścisły związek z przemysłem. Przemysł musi doceniać znaczenie Instytutu, a on z kolei musi zapracować na to, by stał się dla przemysłu nieodzowny.

Już niewielu z tych którzy decydują „we włóknie", twierdzi, że „był przemysł — nie było Instytutu nie będzie Instytutu — będzie przemysł". Ale ciągle jeszcze są różne kontrowersje na temat roli jaką IW powinien spełniać.

26 pracowników IW — w tym szereg sławnych obecnie profesorów Politechniki Łódzkiej związanych dawniej z Instytutem, wydało 50 książek technicznych i podręczników o włókiennictwie. Wiele z nich przetłumaczono na języki obce.

IW przeszedł już okres, kiedy wzywano go do ustawiania maszyn, ale niektórzy w dalszym ciągu traktują go jak automat. Chcieliby — wrzucić 2 złote i czekać aż wyleci czekoladka. Podstawowy zarzut tych ludzi dotyczy, faktu iż nie wszystkie prace Instytutu zaspokajają bezpośrednio potrzeby przemysłu i nie są bezpośrednio rentowne. Zapominają o tym, że *trzeba pogłębiać włókienniczą wiedzę, że warunkiem przyszłych zdobyczy jest rozwój samej nauki.*

Z wieloletnich prac kilkudziesięciu laboratoriów Du Pont'a (króla nylonu), przeciętnie jedno na dwadzieścia opracowań ma praktyczny wydźwięk gotówkowy.

Promieniowanie IW na przemysł i kontakty z nim wyglądają różnie. Od bezpośredniego zaangażowania w prace fabryki, poprzez kursy laborantów do stojącej otworem dla przemysłu największej w Polsce biblioteki włókienniczej. *Zawiera ona 20 tys. książek (a każda z nich jest jakimś kontaktem IW z czytelnikiem —praktykiem z przemysłu), 104 tytuły zagranicznych czasopism fachowych i 76 krajowych.*

Setki prac drukują pracownicy IW w różnych czasopismach a m. in. w rodzimych „ZESZYTACH INFORMACYJNYCH IW" „WIADOMOŚCIACH DOKUMENTACYJNYCH IW „PRACACH IW" „BIULETYNIE INFORMACYJNYM IW".

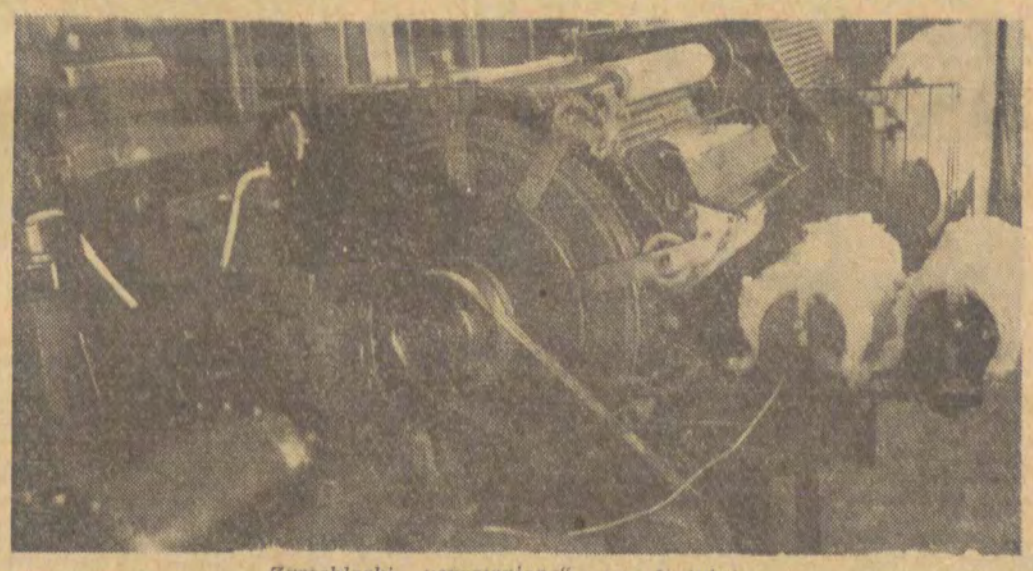

Zgrzeblarki „usprawnione" przez Instytut

TRZY PROŚBY

Instytut stanowił dla wielu osób przystań z której odpłynęli na inne lepiej płatne stanowiska. Ci co zostali w IW, ci którzy stanowią Alma Mater włókiennictwa, mają prawdziwie naukowe zamiłowania i ambicje (zarobki są skromne).

Dla dalszego rozwoju IW potrzeba: więcej miejsca, więcej maszyn, więcej etatów dla pracowników pomocniczych. Lokal nie nadaje się na Instytut, lecz na mieszkania prywatne, maszyn jest za mało i są stare, a we wszystkich pracowniach pewna część aparatury stoi bez ruchu ze względu na brak laborantów (w każdej z 30 pracowni — brakuje ich od 3 do 6).

IW nie skarży się na brak opieki ze strony resortu, ale ze względu na rolę jaką spełnia i jaką może spełniać po zaspokojeniu wszystkich braków — powinien być „oczkiem w głowie" MPL.

IW składa się z 6 zakładów: badań surowców i wyrobów przędzalnictwa, tkactwa i dziewiarstwa, wykończalnictwa, techniki, informacji i ekonomiki.

Poza tym są laboratoria, pracownie i 4 zakłady doświadczalne rozsiane po całej Łodzi.

KATASTROFA w GIBRALTARZE

Dok. ze str. 1

4) Pytanie. — **Czy jest możliwe po starcie odblokowanym — zablokowanie steru wysokościowego w pozycji przedniej, w powietrzu, za pomocą mechanizmu blokującego?**

Odpowiedź. — Zablokowanie steru możliwe jest tylko w pozycji neutralnej przy poprawnym funkcjonowaniu mechanizmu blokującego — **wynik badań sworzni blokujących wskazuje na to, że ster nie był przy ich udziale zablokowany.**

Jak więc widzimy wszystkie relacje komisji i badania wskazują wyraźnie na to, że stery były w porządku, i raczej moment zablokowania sterów jest całkiem nieistotny.

Dlaczego więc komisja angielska z takim uporem tę wersję lansuje? Jasne jest, że szuka dla siebie wyjścia z sytuacji, a nie mogąc niczym innym upozorować „katastrofy" — uwzięła się na zablokowanie sterów.

Ale nim przejdziemy do omówienia całości chcę jeszcze przytoczyć relację pilota, kpt. Prchali, po niej dopiero będziemy oceniać całość wypadku.

Jest to druga relacja kpt. Prchali. Pierwsza była składana przed komisją angielską w parę dni po wypadku i na niej to został oparty cały tok rozumowania komisji i oficjalny komunikat. Ta druga relacja jest raczej dobrowolnym oświadczeniem kpt. Prchali i częściowo dość znacznie odbiega od oficjalnego oświadczenia.

Oto jego relacja:

„W roku 1943 służyłem w skrzydle RAFu zajmującym się transportem wybitnych osobistości. W maju owego roku odwiozłem generała Sikorskiego na Liberatorze do Kairu, a po dwóch miesiącach powróciłem, by zabrać go do domu. Lot z Gibraltaru do Londynu odbywał się zawsze nocą ze względu na bezpieczeństwo.

Postanowiłem startować o godzinie 11 wieczorem. Gdy wszyscy pasażerowie zajęli swe miejsca w samolocie wypróbowałem silniki i stwierdziłem, że wszystkie cztery działają bez zarzutu. Start odbył się normalnie. Samolot zareagował jak zwykle po oderwaniu się od ziemi i przez pierwszych kilka sekund wznosił się prawidłowo. Gdy znaleźliśmy się **na wysokości 300 stóp** mechanik pokładowy doniósł, że podwozie zostało całkowicie wciągnięte. **Wówczas przymknąłem gaz**, zdjąłem prawą rękę ze sterów i wyrównałem samolot.

Po wyrównaniu steru wysokości uczułem nagle silny wstrząs i stwierdziłem, że stery są całkowicie zablokowane. Zawołałem na mechanika, który doskoczył do urządzenia blokującego i stwierdził, że jest ono otwarte. Tymczasem razem z drugim pilotem próbowaliśmy poruszyć ster wysokości z miejsca jednak bezskutecznie. Samolot przeszedł w lot ślizgowy, a ponieważ byliśmy wówczas tylko na **wysokości 300 stóp** nie ulegało wątpliwości, że rozbić się musimy w ciągu kilku sekund. Zawołałem przez telefon pokładowy: Uwaga kraksa!

Usłyszano to również na wieży kontrolnej w Gibraltarze. Równocześnie chcąc zamknąć siłę uderzenia zamknąłem wszystkie cztery przepusty i zawołałem na drugiego pilota, aby wyłączył silniki. Zdołałem odczytać jeszcze na zegarach, że **pikujemy** do wody z szybkością 150 mil na godzinę. W tej chwili uczułem silne uderzenie, słyszałem jeszcze jak samolot się rozpada i straciłem przytomność. Odwieziono mnie do szpitala i poddano operacji. Oprócz wewnętrznych obrażeń miałem rozerwany lewy policzek i obie nogi złamane. Czwartego dnia odzyskałem przytomność.

Powróciłem do zdrowia i do końca wojny latałem na samolotach tego samego skrzydła, przeznaczonego do transportu.

Cieszę się, że mogę stwierdzić, jakie były prawdziwe przyczyny katastrofy, w której premier polski stracił życie, a z której ja sam tylko ocalałem".

Czy naprawdę były to prawdziwe przyczyny? Samej technicznej strony „katastrofy". Bo o tym możemy mówić tylko na podstawie relacji kpt. Prchali. Myślę, że nie. Nie, choćby dlatego, że odbiegają one wyraźnie od pierwszej jego relacji. Gdy w pierwszej była mowa o wzniesieniu się tylko na 150 stóp, jak to stwierdziła komisja, to w drugiej wersji, kpt. Prchala, już się wznosi na 300 stóp, co przecież jest kolosalną różnicą. Przecież właśnie w tym momencie może zachodzić błąd pilotażu. Błąd nieumyślny, czy też dokonany z całym rozmysłem, który spowodował katastrofę?

Zresumujmy całość.

Zeznania pierwsze, naocznych świadków stwierdzają:

1) Samolot wzniósł się na niewielką wysokość (do 30 stóp) po czym wyrównał. Przeleciał poziomo około 50 yardów i lotem ślizgowym zaczął opadać w kierunku morza.

2) Wydawało się, że samolot upadł tuż przy brzegu. Oficer kontrolny stwierdza: **Samolot około 50 yardów od brzegu miał wysokości 1—2 stopy.**

3) Raptem samolot znalazł się około 650 yardów od brzegu gdzie się rozbił.

A więc poziomo nad taflą wody przeleciał 650 yardów. Znaczy to, że stery działały sprawnie. Potwierdza to zresztą ekspertyza techników angielskich.

Tę sytuację przedstawia szkic nr 1.

Komisja stwierdziła:

1) Samolot wzniósł się na wysokość 150 stóp. Następnie pod kątem 15—20 stopni, po przeleceniu poziomo około 50 yardów zaczął opadać w dół.

Komisja zdaje sobie wyraźnie już sprawę, że wysokość 30 stóp jest dla niej nie do przyjęcia, więc podnosi tę wysokość do 150 stóp, gdyż inaczej właśnie byłby błąd pilotażu.

Wtórne oświadczenie pilota wznosi już samolot do 300 stóp, gdyż pilot zdaje sobie jeszcze lepiej sprawę, że i ta wysokość 150 st. jest za niska. Te różnice występują zbyt wyraźnie, i dlatego Anglicy tak się boją błędu pilotażu. Jeżeli przyjmiemy, że stery działały prawidłowo, to rozpatrzmy jeszcze drugi moment, tj. błąd pilotażu. Nasuwa się on w wielu wypadkach nieodparcie, jeżeli chcemy przyjąć, że to był przypadek.

Dlaczego Anglicy tak bardzo podkreślają, że start i lot był prawidłowy? (Zeznania co do wysokości są całkiem różne).

Wyraźnie zachodzi ta druga ewentualność tj. błąd pilotażu. Należałoby tylko stwierdzić, czy błąd pilotażu był wypadkiem, czy zrobiony został z rozmysłem.

Samolot wzniósł się za nisko. Pilot wyrównał i „zamknął gaz". Samolot stracił szybkość i począł opadać w kierunku morza. Tym się tłumaczy, że jeszcze nad morzem leciał poziomo 650 yardów na wysokości 1—2 stopy nad wodą, ale już nie mógł się poderwać, pilot stracił panowanie i samolot rozbił się o wodę.

Dlaczego samolot nie poszedł wyżej? Sam pilot stwierdza, że gdyby samolot wzniósł się na wysokość 500 stóp to by nie było „katastrofy". — Można dopuścić, że błąd pilotażu nastąpił z winy drugiego pilota, który absolutnie nie znał się na samolocie. Pilot Prchala w swoim pierwszym zeznaniu wyraźnie oświadcza, że drugi pilot mógł złapać za niewłaściwe drążki i spowodował rozbicie samolotu. Dlaczego o tym tak mało się mówi?

I dlatego właśnie Anglicy tak tuszują całą sprawę, gdyż są za to odpowiedzialni. Drugi pilot był to wyższy oficer RAFu, który po raz pierwszy znalazł się w tego typu samolocie i nie znał go zupełnie. Oficer ten zajął miejsce drugiego pilota. Skąd się w ogóle wziął? Kto go dał? Jakim prawem posadzono na **tak** odpowiedzialnym miejscu, człowieka, który absolutnie nie znał się na tego typu samolocie? Kto kompletował załogę i w jakiej chwili? Kto wreszcie za to wszystko odpowiada? — Przecież to nie był lot ćwiczebny, ani nauka pilotażu, ani jakiś trening, aby dawać niewyszkolonych pilotów. Był to wyjątkowo ważny lot — bojowy, i to w dodatku z tak ważnymi osobami, jak gen. Sikorski. Dawanie na taki lot niewyszkolonego pilota jest nie tylko nieuzasadnioną lekkomyślnością, ale jest zbrodniczą lekkomyślnością.

Anglicy dobrze sobie zdają z tego sprawę. I dlatego z takim uporem twierdzą, że lot był prawidłowy, i że tylko w jakiś nadzwyczajny niezrozumiały sposób zablokowały się stery. A jednak wszystko wskazuje właśnie na to, że to nie stery się zablokowały (zeznania świadków, ekspertyza i szkic lotu) a tylko faktycznie mógł to naprawdę być błąd pilotażu spowodowany choćby przez drugiego pilota. O czym wyraźnie wspomina kpt. Prchala.

Teraz tylko pytanie, czy błąd pilotażu powstał przypadkowo, czy całkiem świadomie, przez wstawionego drugiego pilota, aby spowodować katastrofę.

Co się stało z drugim pilotem? Był to wyższy oficer RAFu. Ciała jego nie odnaleziono. Czy to jest możliwe? Przypuszczam, że nie. Samolot zatonął na głębokości 30 stóp (koło 10 metrów), a więc nie bardzo głęboko. Praca nurków na tej głębokości jest bardzo łatwa. Mogą dokładnie zbadać całe dno i odnaleźć choćby „wielce zmasakrowane szczątki". A tu nic, nawet śladu.

I znów pytanie. Dlaczego do pracy nie wzięto polskich nurków, przecież takowi byli i nie najgorsi. Można by użyć ich właśnie do badania samolotu i dna morskiego. Byłoby to słuszne i właściwe. Tego jednak nie zrobiono.

I wobec tego nasuwa się znów pytanie. Czy czasem drugi pilot widząc, że już „katastrofa jest nieunikniona" nie zdążył wyskoczyć przed katastrofą i spokojnie odpłynąć? Dlatego też nawet śladu po nim nie pozostało.

Przecież kpt. Prchala pływał też nie koło samolotu, a kilkadziesiąt metrów obok. A trudno uwierzyć w takie tłumaczenia, że w momencie uderzenia samolotu w wodę — samolot skapował i on w tymże samym czasie uderzył głową w szybę pancerną samolotu, przebił ją (głową) i został wyrzucony z samolotu. Po pierwsze, na to nie było zupełnie czasu — i technicznie jest to niemożliwe, po drugie, gdyby kpt. Prchala uderzył głową w szybę pancerną samolotu to z tej głowy pozostałaby miazga. Co najmniej pękłaby czaszka, albo podstawa czaszki, a tu nic, ani nawet wstrząsu mózgu nie było po takim uderzeniu, a tylko od uderzenia głową zostały złamane nogi.

Pilot Prchala wyraźnie podkreśla, że zablokowanie sterów mógł spowodować drugi pilot. Jeśli „katastrofa" nastąpiła z jego winy — wydaje się bardzo pewne i co sugeruje Prchala, — to jasnym jest, że jeżeli drugi pilot uszedł z życiem — to w żadnym wypadku nie może być pokazany. No bo wtedy wszystko byłoby zupełnie jasne i nie wymagałoby żadnych komentarzy, a cała odpowiedzialność za „katastrofę" spadłaby na Anglików. Jeśli jednak popełnił tylko błąd niechcący i żyje — również nie może być pokazany, gdyż tak czy inaczej zawsze on odpowiada za katastrofę.

W tym momencie chcę krótko rozpatrzyć inny jeszcze moment, moment ewentualnego wybuchu na samolocie.

Oficer kontrolny zeznaje:

„Słyszałem trzask jak jasny piorun".

Gdy żegnano się na lotnisku i wsiadano do samolotu, jeden z oficerów angielskich podszedł do p. Zofji Leśniewskiej i wręczył jej duże — dość ciężkie pudło z czekoladkami. Pudła tego pani Leśniewska nie chciała wziąć, wciskano jej to niemal siłą. Byłoby wielką jednak niegrzecznością odmówić. To też z wielką niechęcią wzięła. Jakie tam były czekoladki? Nie wiemy. Ciała córki gen Sikorskiego nie odnaleziono (wersja mówi, że odnaleziono tylko tak zmasakrowane, że nie można go było pokazać), także nie odnaleziono ciała sekretarza gen. Sikorskiego — Adama Kułakowskiego, który prawdopodobnie siedział koło pani Leśniewskiej.

Czy nie ciekawy zbieg okoliczności? A ciała gen. Sikorskiego i gen. Klimeckiego, którzy znów prawdopodobnie siedzieli przed panią Leśniewską były bardzo mocno zmasakrowane i zniekształcone. Jednak drobiazgi z torebki po pani Zofji Leśniewskiej można było odnaleźć. Ciało natomiast zupełnie przepadło.

I jeszcze mała uwaga. Gdyby załoga (piloci) nie wiedziała o tym, że „musi być katastrofa" gdyby ona nastąpiła bez ich udziału, to przebieg jej byłby zupełnie inny. A mianowicie: — W wypadku podłożenia bomby bez wiedzy pilotów, wybuch jej mógłby nastąpić gdzieś na pełnym morzu i wówczas mogliby zginąć wszyscy łącznie z pilotem lub pilotami. Nie wydobyto by także dokumentów, na których Anglikom ogromnie zależało. Sugerowanie przez niektóre osoby, że odlot był opóźniony, jest całkowitym absurdem. Odlot był naznaczony na godzinę 23 i start odbył się punktualnie. Czas odlotu dla wszystkich był zupełnie znany, jawny i całe otoczenie gen. Sikorskiego jak i co najmniej kilkudziesięciu Anglików dobrze wiedziało, że gen Sikorski odlatuje o godzinie 23. Twierdzenia, że odlot był opóźniony przez przetrzymywanie gen. Sikorskiego na kolacji jest nie do przyjęcia.

Zresztą pilot sam zeznaje wyraźnie:

„Zdecydowałem startować o godz. 23".

A więc decyzja godziny startu — wyszła od pilota kpt. Prchali. Nie twierdzę, że nie mogła to być bomba - oczywiście, tylko, że jeśli tak to moment wybuchu jej był uzgodniony z pilotami. W przeciwnym razie fale oceanu pochłonęłyby wszystko i wszystkich, tak, że nawet najmniejszego śladu by nie zostało.

Przechodzę jednak do tezy, że zamach był zrobiony z wiedzą pilotów, i dlatego musiał być tak wykonany, aby pilot mógł ocaleć (lub piloci) i aby dokumenty mogły być odnalezione. To mogło nastąpić tylko w tym wypadku, gdyby katastrofa nastąpiła gdzieś blisko brzegu, tak aby ratunek dla pilota przyszedł w porę, aby umiejscowić miejsce wypadku, a więc widzieć go i aby móc wyciągnąć z morza dokumenty. Cała zatem „katastrofa" musiała nastąpić w tym wypadku blisko brzegu, co też miało miejsce.

Uzgodnienie katastrofy z załogą (pilotami) musiało być zrobione przez osobę, tak bardzo autorytatywną, że nie podlegało żadnej dyskusji — i wątpliwości, że „katastrofa musi nastąpić". W przeciwnym razie (jeśli przyjmujemy, że piloci wiedzieli o niej), piloci mieliby wątpliwości co do konieczności katastrofy i wówczas zawiadomiliby swoje władze, jeśli to nie nastąpiło, to tylko dlatego, że „katastrofa" musiała się stać za wiedzą takiej osoby, że nie podlegała żadnym wahaniom ani dyskusji.

Ponieważ wyniki wszystkich komisji nie tylko nie dawały odpowiedzi na pytanie czy to był zamach — czy faktycznie wypadek, wobec tego zostało przeprowadzone „tajne" dochodzenie przez osoby bardzo zaufane, nawet bez wiedzy gospodarzy. Czy faktycznie bez wiedzy, czy tylko bez oficjalnej?

I oto, co tajne dochodzenie ustaliło — ponad wszelką wątpliwość, że „nie był to żaden wypadek", a tylko normalny zamach. Dokumenty w tej sprawie zostały „zabezpieczone" jak stwierdził w 1958 r. gen. Marian Kukiel.

Dokumenty zabezpieczono, ale nie ujawniono. Widać że jeszcze kryje się w tym jakaś tajemnica.

Bardzo ciekawym i charakterystycznym momentem jest jeszcze taki szczegół.

Oto 24 maja, gdy gen Sikorski przyleciał z Londynu do Gibraltaru, będąc w drodze na Bliski Wschód, o godzinie 12—13 w południe zadźwięczał telefon u ministrów: Mikołajczyka, Popiela, Stańczyka i Kota. Nieznana osoba dzwoniła do wymienionych ministrów w Londynie, zawiadamiając, że w Gibraltarze nastąpiła „katastrofa samolotu gen. Sikorskiego", i że gen. Sikorski zginął.

W Londynie nastąpiła szalona konsternacja. Min. Popiel, który otrzymał taki telefon, pojechał natychmiast do Mikołajczyka i powiedział mu, że otrzymał telefon z wiadomością o śmierci gen. Sikorskiego. Mikołajczyk odpowiedział, że również otrzymał przed kilkunastu minutami takiż telefon. Informujący we wszystkich wypadkach nie podał kto dzwoni. Mikołajczyk i Popiel pojechali od razu do Anglików, żeby wyjaśnić sprawę. Anglicy o niczym nie wiedzieli. Prosili o parę godzin czasu. Po dwóch godzinach dali odpowiedź, że wszystko w porządku, katastrofy nie było, gen. Sikorski żyje.

Jednak, jak wiemy „katastrofa" nastąpiła 6 tygodni później w tym samym miejscu i tym samym sposobem.

Informujący mógł wiedzieć o decyzji, że katastrofa ma nastąpić w Gibraltarze. (Dlatego tak wyciągano gen. Sikorskiego z Londynu). Mógł być przekonany, że nic nie może jej zmienić, i że już została wykonana. I nie wiedział, że tym razem jeszcze nie nastąpiła. Informacje o tym do niego jeszcze nie dotarły. Będąc całkowicie przekonany, o tym, że decyzja została wykonana — zawiadamia o „katastrofie" polskich ministrów. A tymczasem z przyczyn jakichś wówczas osobie telefonującej nieznanych, „katastrofa" jeszcze nie nastąpiła.

Przyczyny opóźnienia „katastrofy" w Gibraltarze mogły być dwie:

1) Albo przypuszczano — co jest dość wątpliwe, że Sikorski, jakoś porozumie się z Andersem — co jednak nie miało miejsca i mogło wpłynąć na wykonanie decyzji.

2) Albo technicznie nie była jeszcze dobrze przygotowana i należało ją lepiej przygotować — co miało miejsce w drodze powrotnej.

Miejsce pozostało to samo, — Gibraltar. Sposób ten sam, jak w telefonie, „katastrofa samolotowa".

J. KLIMKOWSKI

Zdjęcie z 18 czerwca 1940 r. Z lewej strony Churchilla gen. Sikorski, z prawej gen. de Gaulle

ANDRZEJ IZERSKI

WIDZEWSKI KRÓLIK

W cztery miesiące po wybuchu wojny, dnia 6 grudnia 1914 roku wojska niemieckie zajęły Łódź. W ślad za nimi do Łodzi zawitała niebywała drożyzna. Brak było artykułów żywnościowych i przemysłowych. Wprowadzone przez okupantów kartki żywnościowe uprawniały do nabycia 60 dkg kartofli dziennie, jednego dekagrama cukru oraz dwóch dekagramów grochu lub kaszy. Chleb był nie do jedzenia. Zabrakło mydła i opału. O mięsie i tłuszczach robotnicy w ogóle nie mogli marzyć. Te produkty dostawało się tylko na czarnym rynku. Wieś w ogóle nie sprzedawała za pieniądze. Ukryte przed rekwizycjami produkty chłopi wymieniali tylko za potrzebne im artykuły przemysłowe. O towary fabryczne było wszakże niezwykle trudno. Niemcy znacznie ograniczyli produkcję całego przemysłu, który nie pracował na potrzeby wojska.

Miasto wyglądało na wymarłe. Tylko przed sklepami spożywczymi stały długie kolejki kobiet. Szerzyły się epidemie. Wypadki śmierci głodowej nie należały do rzadkości.

Kon był rad z tej sytuacji. Była dlań nadzwyczaj wygodna z punktu widzenia realizacji jego planów. Ciężka sytuacja ludności i drakońskie zarządzenia okupantów, oczywiście, w niczym prawie nie zmieniały standardu życiowego ludzi jego sfery. Natomiast owa stagnacja przemysłowa sprzyjała wyciąganiu nadzwyczajnych zysków.

Zresztą tym, co wyróżniało Kona spośród innych przemysłowców i finansistów był właśnie ów fenomenalny talent przystosowywania się do każdej sytuacji. I umiejętność czerpania zysków z każdego układu stosunków. Kon zarabiał i na kryzysie i na okresie prosperity, na wojnie i na pokoju, zarabiał rozszerzając produkcję i ograniczając ją. Zarabiał zawsze i na wszystkim. Uznał więc, że wojna jest okazją żeby zarobić szczególnie dobrze.

Tanfani nie wracał do Łodzi. Co prawda Włochy były sojusznikiem okupujących Łódź Niemców, ale mogły przejść na stronę aliantów, co też rzeczywiście stało się niebawem. Kon miał więc swobodę działania. Widzew otrzymał zamówienia wojskowe. Pod tym pretekstem „kiwając" lub przekupując niemieckich kontrolerów udało się kierownictwu Wimy wypuszczać pokaźne partie materiałów cywilnych i rzucać je na czarny rynek. Gros produkcji jednak Kon magazynował w różnych pomieszczeniach, w zamaskowanych składach, potem nawet w mieszkaniach robotników. Goldfeder i Kon wiedzieli, że ceny na tekstylia dalej będą rosły, warto więc czekać, by z większym zyskiem wymieniać towary na złote. Tak się bowiem tylko opłacało.

Kon nie mógł wszakże zgarniać śmietanki z tych operacji. Ku jego wściekłości przypadła ona znów Tanfaniemu, który siedział sobie w dalekich kurortach i zagarniał złoto — owoc konowskich działań spekulacyjnych. Oskar uważał, że bądź co bądź nadstawia karku, prowadzi produkcję w nadzwyczaj trudnych warunkach, jawną więc jest niesprawiedliwością, że zarabia na tym o wiele mniej niż baron, który nie kiwa nawet palcem w bucie. Ale i Kon zarabiał nieźle. Pokornie więc odsyłał Tanfaniemu worki ze złotem na adres szwajcarskiego banku. Tym bardziej pokornie, że Tanfani darzył go ogromnym zaufaniem, nie tak wszakże wielkim, żeby nie powierzyć Konowi opieki kontrolera. I to, o dziwo, kontrolera nieprzekupnego.

W czasie nieobecności barona pilnował posiadając w kieszeni znaczne pełnomocnictwa interesów jego niejaki Edmund Thoelke stary prokurent Widzewa, urzędnik jeszcze Heinzla i Kunitzera. Człowiek nieposzlakowanej uczciwości, jeden z członków dziwnego, wówczas już wymierającego klanu, starych niemieckich urzędników, skromnych, dokładnych, nieprzekupnych i ślepo wiernych swym pryncypałom.

Thoelke, mimo, że niemiecki patriota, bez żadnych moralnych skrupułów pomagał Konowi i Goldfederowi w oszukiwaniu władz. Dobro interesów jego pryncypała było dlań dobrem najwyższym na świecie. Równym w hierarchii ważności takim pojęciom jak Bóg i ojczyzna. Tej ostatniej gotów był poświęcić wszystko... wyjąwszy interesy pryncypała.

Niemiec pilnie więc patrzył na ręce spółce Goldfeder-Kon. Nie chcę przez to powiedzieć, że Konowi zupełnie nie udawało się go oszukiwać.

Rozdział IV

KIJ na TANFANIEGO

Okupacja, stagnacja i czarnorynkowe interesy. — Zaufani pana barona. — Demontaż łódzkich fabryk. — Oskar Kon jedzie do Berlina. — Nominacja na generalnego dyrektora. — Oskar Kon odkrywa w sobie pokłady patriotyzmu i kokietuje robotników. — Robotnicy ukrywają maszyny. — Bankructwo Goldfedera. — Delikatna a dalekowzroczna operacja dwuznacznego patrioty. — Wima sama na placu. — Rewolucyjne nastroje na Widzewie i w Łodzi. — Oskar Kon pertraktuje z robotnikami i... wyjeżdża za granicę. — Kredyty banku włoskiego. — Delegacja Widzewa wita premiera Paderewskiego. — Gra na dwa fortepiany. — Konowa filozofia kija.

Niebawem władze okupacyjne przystąpiły do demontażu łódzkich fabryk. Wedle oficjalnej wersji chodziło o dostarczenie dla potrzeb armii niemieckiej maszyn jako surowca dla hut. Kon pojechał do Berlina i szybko wywęszył, że istotna przyczyna jest zgoła inna. Rząd Kaisera postanowił zniszczyć łódzki przemysł, który niezależnie od wyników wojny byłby w przyszłości konkurentem dla niemieckiego przemysłu marzącego o zdobyciu rynków wschodnich.

Plan ten, zresztą zrealizowany, nie był zbytnio mądry z punktu widzenia powojennych niemieckich interesów. Większość łódzkiego przemysłu włókienniczego znajdowała się w rękach przemysłowców narodowości niemieckiej. Demontaż fabryk spowodował tylko szybką infiltrację do polskiego włókiennictwa kapitałów angielskich, włoskich, francuskich i amerykańskich. Kaiser w rezultacie nadszarpnął interesy swoich rodaków w Łodzi i w Rzeszy.

Kiedy władze wojskowe przystąpiły do demontażu maszyn a zarazem zaczęły rekwirować składy gotowych towarów, Kon miał już przygotowany plan, aby zażegnać niebezpieczeństwo przy pomocy znanego bankiera z Düsseldorfu doktora Hammerschmidta, notabene akcjonariusza Widzewa. Kon uzyskał zamówienia wojskowe, toteż do demontowania Widzewa przystąpiono najpóźniej. A i wtedy gdy rozpoczęła się dewastacja fabryki, Kon znalazł środki, by wpłynąć na przedstawicieli okupanta, żeby nie wykazywali zbytniego pośpiechu i zadawalali się rozbiórką najmniej ważnych dla fabryki maszyn.

Stosunki i zabiegi w Berlinie umocniły pozycję Oskara Kona na Widzewie. W czerwcu 1916 roku został on mianowany współdyrektorem (obok Tanfaniego) fabryki z prawem samodzielnego podpisu. Oprócz nich członkami zarządu byli: niemiecki bankier Goldfeder, pani Agnes Nina Kunitzer i baronowa Tanfani.

W roku 1917 wśród łódzkich robotników, wygłodzonych, będących już u kresu sił, nastąpiło znaczne ożywienie związane z nadzieją na rychły koniec wojny, niepodległość Polski i rewolucyjne zmiany w jej ustroju. Trwała już rewolucja w Rosji. Zbliżała się rewolucja w Niemczech. Docierały do Łodzi wieści o rosyjskich chłopach, którzy zabierają obszarniczą ziemię, o przejmowaniu przez robotników zarządów fabryk, o radach i masowym opuszczaniu przez wojsko okopów.

Oskara Kona bardzo uradowały rewolucyjne nastroje jego załogi. W tym właśnie czasie władze okupacyjne ostatecznie zdecydowały pełną parą przystąpić do demontażu Widzewa. Kon zaczął uwijać się wśród robotników z nie mniejszą umiejętnością niż przed miesiącem kręcił się wśród wpływowych berlińskich bankierów i cesarskich urzędników. Oskar, któremu poczucie przynależności do narodu polskiego było dotychczas zgoła obce, który czuł się po trosze Żydem, a po trosze z biegiem lat coraz bardziej (choć nie wiadomo dlaczego) — Niemcem, nagle „odkrył" w sobie niemałe pokłady polskiego patriotyzmu. A nawet mienił się sympatykiem rewolucji.

Robotników nie zwiodła bynajmniej ta nadzwyczajna przemiana ich pryncypała. Zdecydowali wszakże, że sytuacja wymaga ich współdziałania. Pragnęli ratować swój warsztat pracy, tym bardziej, że mieli wówczas nadzieję, że lada dzień przestanie on być raz na zawsze własnością Tanfanich i Konów, a przejdzie pod zarząd robotniczy.

Robotnicy Wimy przystąpili sami do demontażu urządzeń fabrycznych, które następnie skrupulatnie chowali w mieszkaniach prywatnych i rozmaitych skrytkach. Akcją kierowali: kierownik przędzalni Mikulski, majster stolarni Szedziński i portier Wojtczak. Kiedy Niemcy weszli do fabryki, nie mieli już co demontować. Podobnie pochowano gotowe wyroby.

Za przykładem Widzewa poszły niebawem załogi większości innych fabryk.

Po demontażu Kon nie przestał kokietować robotników. Wygłaszał piękne tyrady, iż on czuje się tylko pracownikiem Wimy który ratuje wraz z nimi swój warsztat pracy i że równie jak oni nienawidzi włoskiego kapitalisty, dla którego wszyscy razem wspólnie zmuszeni są pracować.

W tym ostatnim zapewnieniu były nawet pewne elementy szczerości, które Kon tylko przyprawił „klasowym" sosem. Istotnie nienawidził swego konkurenta i miał zamiar szybko go wykończyć. Tymczasem dalej umacniał swą pozycję w fabryce. Jego przemówienia były widać dość sugestywne. Podziemna komórka PPS odbyła bowiem zebranie, na którym rozważono sprawę, czy w wypadku upaństwowienia fabryki nie należy powierzyć jej kierownictwa właśnie Konowi, gdyż świetnie potrafi kierować produkcją, a jednocześnie tak nienawidzi kapitalistów.

Oprócz PPS udzielił poparcia Konowi widzewski proboszcz, wysławiający w kazaniach „ludzi", którzy dzięki swym talentom, winni być kochani i poważani, niezależnie od tego czy są katolikami czy Żydami".

Przestraszyły nawet Kona te hołdy, bał się bowiem, że wieści o jego popularności dotrą do Tanfaniego i że może z tego powodu stracić zaufanie barona. Pisał więc listy zapewniając Włocha o swym dla niego oddaniu i tłumaczył się gorąco ze swoich posunięć. W odpowiedzi otrzymał od Tanfaniego generalne pełnomocnictwo reprezentowania interesów baronostwa w Łodzi i wolną rękę w zarządzaniu fabryką. Wkrótce został sam na placu. Goldfeder, poważny jego konkurent w walce o zawładnięcie Wimą człowiek mający więcej od Kona akcji Widzewa i będący poważniejszą od Oskara potęgą finansową — pewnego pięknego dnia przestał istnieć.

Goldfeder uparcie lokował kapitały w Rosji. Przyszła Rewolucja Październikowa. Stracił wszystko. Pozostało mu tylko siedzieć i czekać. Był bowiem pewien, że rządy bolszewików upadną lada dzień i wszystko odzyska. Czekał tak i łudził się aż do śmierci.

Kon zacierał ręce. Na rewolucji stracił 100 tys. rubli, które ulokował w Rosji, ale niebawem połowę odzyskał, sprzedał bowiem swoje akcje rosyjskich przedsiębiorstw Goldfederowi za połowę ceny. Bankier z ochotą nabył tę makulaturę, stawiał bowiem konsekwentnie na białogwardyjskiego konia.

Następnie Kon odsunął od wpływu na sprawy fabryki Thoelkego. Pościągał ile się dało gotowych materiałów z robotniczych mieszkań do swoich prywatnych składów, kupił kilka kamienic, wykorzystując wojenną zniżkę cen nieruchomości, przejął całkowity zarząd Widzewa i spokojnie czekał na koniec wojny. Tymczasem planował pewną delikatną operację, którą trzeba było przeprowadzić przed opuszczeniem Łodzi przez Niemców. Ta operacja mogła spowodować, że Widzewska Manufaktura po wojnie zostawi daleko w tyle konkurencyjne fabryki.

Jak pamiętamy, łódzcy robotnicy zdemontowali i poukrywali urządzenia i maszyny fabryczne, ażeby nie mógł ich wywieźć okupant. Przed samym końcem wojny „ktoś" doniósł władzom niemieckim, gdzie poukrywane są części maszyn. Niemcy zdążyli je zarekwirować i przetransportować do Rzeszy. Łódzki przemysł został na długi czas unieruchomiony. Dziwnym wszakże zrządzeniem losu okupant nie odkrył tylko skrytek, w których znajdowały się maszyny Wimy.

Oczywiście, nikt Kona nie złapał za rękę. Ale po Łodzi krążyło na ten temat wiele plotek i domysłów. Było prawdopodobne, że denuncjatorem jest Kon. Faktem jest, że jedyną fabryką gotową do podjęcia produkcji prawie natychmiast i to w warunkach braku konkurencji — była Widzewska Manufaktura.

Łódcy fabrykanci zgrzytali zębami. Tym bardziej zgrzytali zębami robotnicy, którzy z narażeniem życia ukrywali maszyny po to, żeby teraz dostały się one w ręce okupantów, oni zaś na długo pozbawieni zostali warsztatów pracy i chleba.

Kon miał w tym momencie szczerą ochotę wyjechać za granicę. Czasy były niespokojne. O „nieszczęśliwy wypadek" nie było trudno. Na ulicach rozbrajano Niemców. Wielu robotników chodziło z bronią. Na razie zdecydował jednak nie wyjeżdżać. Po zwycięskiej rozgrywce z grupą konkurentów musiał jeszcze stoczyć walkę z własnymi robotnikami.

Nie była to łatwa batalia. Minęły czasy, kiedy konflikty rozwiązywał wezwany do fabryki szwadron kozacki. Teraz szeroką falą płynęły wieści z Rosji. W Niemczech trwała rewolucja. W warszawskim zamku rezydował premier Moraczewski z PPS wygłaszający przemówienia, których głównym tematem był socjalizm. W całej Polsce powstawały rady delegatów robotniczych.

Łódź zaludniła się zdemobilizowanymi żołnierzami i powracającymi uciekinierami. Przed bramami fabryk gromadziły się tłumy żądających pracy i chleba. Fabryki stały nieczynne. Niemcy wywieźli 1.000 ton maszyn z metali kolorowych, 1300 km pasów transmisyjnych, 12000 motorów elektrycznych. Zniszczono turbogeneratory i obrabiarki. Wywieziono wszystkie surowce i półfabrykaty. Jedyną fabryką, w której montaż maszyn szedł pełną parą, która lada dzień miała ruszyć — był Widzew. Na Rokicińskiej wystawały więc tysiące ludzi. Tłum był głodny. Żądał pracy. Żądał wypłacenia zasiłków, sprzedania mu resztek, za które można było na wsi uzyskać żywność, wypłacenia w resztkach należności za przechowanie towarów ukrytych przed okupantem, a teraz w całości dokładnie, co do metra zwróconych Konowi. Żądano wyrzucenia z fabryki Niemców — urzędników i majstrów. Kon wiedział, że wezwanie policji mogłoby spowodować wybuch groźnych dlań zamieszek w całym mieście.

Poprosił tłum o wyłonienie delegatów i wszczął pertraktacje. Delegaci żądali niewiele, tylko tyle ile w sposób oczywisty im się należało: wypłaty zasiłków, boć przecie potrącono im z dniówki na fundusz zasiłkowy, sprzedaży resztek — mieli to obiecane, i usunięcia trzech znienawidzonych Niemców: kierownika z działu elektrycznego, Wagnera oraz prokurentów Steingerta i Szutza. Robotnicy nie mają co włożyć do garnka, a oni którzy są współodpowiedzialni za demontaż przemysłu dostają nadal wysokie pensje.

Oskar uznał ich żądania za słuszne. Tylko... on nie może decydować bez Tanfaniego. Poza tym w kasie nie ma ani grosza. Prosił o zwłokę.

Skromne słowo „zwłoka" urosło potem do rangi systemu załatwiania przez Kona spraw z robotnikami. Uważał on, że czas jest najlepszym lekarzem konfliktów. Kazał powoli wypłacać zasiłki, żeby złagodzić sytuację. Poza tym mnóstwo naobiecywał. Delegacja robotnicza uwierzyła Konowi owianemu aurą patrioty-bojownika o łódzki przemysł, który z patriotycznych pobudek przechytrzył okupanta. Znienawidzeni Niemcy zostali w fabryce. Resztek robotnicy nie dostali. Niebawem zresztą Kon wyjechał za granicę i nie było z kim dalej pertraktować. Przed wyjazdem uczynił jednak znamienne posunięcie. Ofiarował mianowicie bezpłatnie lokal znajdujący się w pobliżu fabryki na komisariat policji. Wolał mieć policjantów pod bokiem.

Za granicą Oskar spotkał się z Tanfanim. Uzyskali oni dla Wimy kredyty włoskiego banku. Ich powrót do Łodzi zbiegł się z przyjazdem do Polski Ignacego Paderewskiego, który po powrocie objął kierownictwo rządu. Paderewski wiózł ze sobą amerykańskich businessmanów, obietnice dolarowych pożyczek i niewielki transport bawełny. Kona interesowała tylko ta ostatnia. Żeby Widzew mógł podjąć produkcję trzeba było węgla i surowców. Wyprawił tedy Kon na koszt fabryki delegację robotników ze sztandarami PPS na powitanie premiera.

Kon również wyjechał do Warszawy i rozpoczął tu grę na dwa fortepiany. On sam biegał po rządowych gabinetach wyjaśniając, że dla gospodarki Polski konieczne jest, żeby Wima natychmiast ruszyła a inspirowani przezeń robotnicy w tychże gabinetach domagali się tegoż węgla i surowców wysuwając z kolei argument że 8.000 robotników Widzewa i ich rodziny głodują. Do nowoupieczonych ministrów przemawiały oba argumenty. Ten drugi również ponieważ bali się rozruchów głodowych w Łodzi. Wiedzieli, że sytuacja napięta jest do ostateczności. Kon dostał więc bawełnę i transport śląskiego węgla.

W następnym numerze:

Pożar na WIDZEWIE

Maks Kon idzie na wojnę. — Henryk dezerteruje do Gdańska. — Firma eksportowa „Balticum". — Zarobki na inflacji. — Chwyt z fundowaniem politechniki. — Łuna nad Widzewem. — 6000 robotników na bruku. — Poszlaki przeciw Tanfaniemu. — Oskar Kon gra va banque. — Potrójny zarobek na pożarze. — Kulisy nieścigania podpalaczy. — Łańcuszek asekuracyjny. — Jedynowładca Widzewskiej Manufaktury.

W tym tygodniu radzimy obejrzeć

Jeżeli chodzi o ilość audycji — będzie z czego wybierać (i wybieramy), ich jakość ocenia państwo sami.

CZWARTEK 6 PAŹDZIERNIK

18.25 Recital fort. B. Wojtowicza (w pr. Paderewski). 20.20 KOBRA „Lut szczęścia" widowisko J. Jaxy. 21.30 „Już zgasł znicz olimpijski" program estradowy (Ł) (Rudzki, Sempoliński, Bielicka, Rek).

PIĄTEK 7 PAŹDZIERNIK

16.16 program dla dzieci. 18.25 Wszechnica telewizyjna. 20.00 Teleturniej „Kółko i krzyżyk". 20.30 film jugosłowiański „Czarne perły" (od lat 14).

SOBOTA 8 PAŹDZIERNIK

16.00 Program dla dzieci. 17.25 Hektor Berlioz — aud. z cyklu SYLWETKI KOMPOZYTORÓW. 19.30 „Nasza żartoteka" — program rozrywkowy z Warszawy. 21.50 „Niebo bez miłości" film jugosłowiański (Od lat 18).

NIEDZIELA 9 PAŹDZIERNIK

14.50 Węgry — Jugosławia transmisja meczu piłkarskiego dwóch medalistów olimpijskich z Budapesztu. 17.00 Montaż najlepszych „numerów" z programów kabaretu „SZPAK" 17.40 Film z serii Disneyland pt. „Goofy". 18.30 Teleturniej: Czytamy Szekspira. 20.15 „Kra katit" film fab. prod. czeskiej (od lat 16).

Dwa pokwitowania z małymi opóźnieniami

Zaprezentowaliśmy ostatnio w telewizji polskiej, czeskiej, niemieckiej i węgierskiej nasz znakomity zespół „Śląsk". Po obejrzeniu tego widowiska wśród odbiorców dało się odczuć znaczne rozczarowanie. Otóż „Śląsk" piękny, kolorowy, urzekający, wypadł w telewizji szaro, bezbarwnie, ot, tak, jak pierwszy lepszy zespół amatorski. Stało się tak dlatego, że śląska TV prowadziła transmisję na żywo z estrady koncertowej, z sali, w której była publiczność. Okazuje się, że takie transmisje nie zdają egzaminu na ekranie TV. Ujęcia operatorów były z konieczności nudne, sztampowe, plany albo za bliskie, albo za dalekie. W kadr wchodziły bez przerwy niepotrzebne praktikable lub też grupy zespołu ukryte przed publicznością za pierwszą linią tańczących czy śpiewających, a przygotowujące się do wejścia w akcję na zasadzie zaskoczenia widzów siedzących na sali. Okazuje się dalej, że widowiska takie trzeba przygotowywać dla telewizji zupełnie inaczej i osobno w oparciu o oryginalny scenariusz telewizyjny. „Śląsk" na pewno bowiem nie zachwycił widzów Interwizji, w ramach której program nadawano. Cóż, na błędach człowiek się uczy. A więc jeszcze jedna nauczka na przyszłość.

SŁABIUTKI TWAIN

W tym samym dniu łódzka TV przedstawiła humoreskę Twaina „Jak redagowałem gazetę rolniczą?" Było to widowisko równie krótkie, jak słabe, tak tekstowo (bo to nie najlepsza humoreska znakomitego Twaina) jak i w ogóle... Na dobitek jeszcze do amerykańskiej redakcji z końca ub. wieku wjeżdża sobie spokojnie kamera telewizyjna. Ale widz przyjmuje to spokojnie, no, bo jeżeli „brukiew rośnie na drzewach, a guano to gatunek ptaków"...

Aktor przed telewizyjną kamerą

O LĘKU, NERWACH i ŚWIADOMOŚCI aktora

Spotkaliśmy się tedy, tak, jak to było umówione, we trójkę. **Jerzy Antczak** — reżyser, **Michał Pawlicki** — aktor i niżej podpisany. Mówiliśmy.

Przede wszystkim o tym, co różni pracę aktora na scenie od pracy aktora w telewizji. O środkach wyrazu. O osaczeniu przez technikę.

— To jest trochę tak — podsuwał Aktor — jak rozmawiać z przyjacielem, siedząc przy jednym stole, a rozmawiać z nim przez ulicę. Pierwszy przypadek to telewizja, drugi — to teatr. Gawędząc przez szerokość jezdni, nie będę bał się ani mocnego gestu, ani krzyku, przy stole i gest i krzyk wydałyby się panu brutalne, grubo ciosane, niegrzeczne niemal.

Przypuśćmy — pytał Dziennikarz — że gra pan w teatrze Hamleta. I proponują panu tę samą rolę w telewizji, ale nie jest to przeniesienie spektaklu teatralnego, a nowa, czysto telewizyjna inscenizacja. Czy zdobyte doświadczenia pomogą panu, czy nie?

Aktor waży słowa. — I tak i nie — mówi — ale chyba bardziej nie, niż tak. Owszem, będę miał opanowaną rolę pamięciowo, będę miał jakiś stosunek do Hamleta. Ale z drugiej strony musiałbym chyba wymazać z pamięci zapis swoich działań i reakcji, musiałbym poszukać nowych, odmiennych form przekazywania stanów emocjonalnych. Rozpacz, oszołomienie, zaskoczenie — w teatrze wchodziłoby na przykład w rachubę zakrycie twarzy rękoma, czy chwycenie się za głowę.

A w telewizji, pod bacznym okiem kamery, ten gest mógłby okazać się za silny. Może wystarczy zaciśnięcie dłoni na poręczy krzesła? Bezwładne upuszczenie na podłogę jakiegoś przedmiotu? Nie wiem, ale w każdym bądź razie potrzebne będzie coś innego, nowego.

Reżyser: Bo zarazem jesteś osaczony przez technikę. Kamera cię widzi, patrzy prosto w twarz. Nad tobą wisi wędka z mikrofonem, wyjdziesz z kadru, uciekniesz ze świateł, a długo wypracowany efekt zagubi się.

I o tym aktor pamięta, żyjąc bezpośrednio przed spektaklem telewizyjnym i w jego trakcie w ogromnym napięciu nerwów.

Aktor: Trzeba skupić się, trzeba zgromadzić wszystkie swoje siły akurat na godzinę 20.15. Ani później, ani wcześniej — 20.15. W teatrze ma się szansę zagrania lepiej na następnym spektaklu, tu — nie.

Kamera widzi człowieka, widzi jego twarz i bezlitośnie demaskuje każde kłamstwo. W teatrze mogę w trakcie monologu przypomnieć sobie, że zostawiłem w domu włączone żelazko, ale mimo wszystko wygłosić tekst, przynajmniej poprawnie. W telewizji kamera zarejestruje drgnięcie na mojej twarzy i setki telewidzów odbiorą tę — nie dla nich przecież przeznaczoną — emocję.

Reżyser: Tu chodzi o to, żeby nie wyjść poza nośność małego ekranu, nie przekroczyć bariery wrażliwości widza. Zbyt silny grymas, zbyt silny skurcz podbródka i czuje się fałsz.

Aktor: Trzeba kontrolować swoją twarz. Trzeba bezbłędnie pamiętać i sytuacje i tekst. Mam być ujęty tak, a tak, mam być oświetlony tak, a tak, mam się przesunąć tu i tu.

I ten ciągły, często niesprawiedliwy w rezultacie, lęk. Czy nie zawiodą kamerzyści, czy nie zatnie się coś w skomplikowanym aparacie technicznym i w rezultacie czy cały wysiłek nie pojdzie na marne?

— Oczywiście — mówi Reżyser — staramy się aktorowi pomóc. Chcemy zbliżenia, chcemy aby aktor „wszedł" niejako w kamerę — wówczas nie będziemy robić tego mechanicznie, a ustawimy powiedzmy stolik, do którego aktor podejdzie. Podejdzie do stolika, a że akurat za nim ustawimy kamerę, to już inna historia.

Aktor: Tylko wciąż myślimy, że za mało jest prób.

Reżyser: O trzy za mało. Czy jest ich więcej, czy mniej, zawsze się mówi: o trzy za mało.

Aktor: Bo jest tu między nami pewna sprzeczność...

Reżyser: ...niestety, chyba nie do przezwyciężenia.

— Ja, aktor, przyzwyczaiłem się w teatrze budować rolę w głąb. Od mniejszego do większego. Od szkiców sytuacyjnych, do scen i całych aktów. Od zarysu psychologicznego, do wchodzenia w postać.

— Ja, reżyser, wiem jednak, że technika telewizyjna jest nieubłagana, że nieprecyzyjnie pomyślany kadr psuje w rezultacie nie co innego, a pracę aktora.

— I oto idzie mi jak najlepiej, gdy nagle słyszę: stop. Przesunąć kamerę, zmienić światła, poprawić to czy tamto. Za chwilę zaczynam na nowo, ale brakuje mi dawnego napięcia. I znów: stop i znów poprawki.

— Ale to jest konieczne. Idziemy od aktora do techniki, od przygotowania ról, do wypracowania szczegółowego planu spektaklu. Dlatego chyba praca w telewizji jest taka

ciężka, wymaga od aktora takiego napięcia nerwów i takiego wewnętrznego skupienia, jakiego nie wymaga chyba ani praca w filmie, ani praca w teatrze.

— Skupienie, samokontrola, świadomość. Kamera mnie widzi, patrzy prosto w moją niemą twarz. Teraz mam upuścić ołówek, a kamera zesunie się i uchwyci ten ruch, zarejestruje go. Ale ona tkwi nieruchomo, kamerzysta zagapił się, zapomniał, nie wiem.

Co mam robić? Upuścić ołówek mimo wszystko, poszukać jakiegoś ekwiwalentu, czekać?

Tylko czy to wszystko nie wydaje się panu zbyt drobiazgowe? A może niejasne?

Dziennikarz: Nie, ani zbyt drobiazgowe, ani niejasne. Zresztą nie wypracowujemy tu przecież jakiegoś systemu, ani formuły. Jeżeli zgodzimy się na to — że powrócę do punktu wyjścia — iż w telewizji zewnętrzna strona przeżycia — mimika, gest, natężenie głosu — ulega pewnemu pomniejszeniu czy ścieszeniu koniecznemu dla zachowania intymności odbioru — to będzie to jedyne uogólnienie, do którego chciałbym dzisiaj dojść.

Reżyser: Myślę, że na to można się zgodzić — gest w telewizji będzie na pewno słabiej zaznaczony niż w teatrze, będzie oszczędniejszy. Ale to nie wyczerpuje problemu.

Dziennikarz: Na pewno.

Reżyser: Wobec tego czy nie zechciałby pan odwiedzić nas w czasie prób i przyjrzeć się osobiście, jak ten problem wygląda?...

W ten sposób zostałem zaproszony na próby nowego widowiska przygotowywanego przez Ł.O.T. i mniej więcej za 3 tygodnie złożę Czytelnikom szczegółową relację.

JERZY PANASEWICZ

Szanowny Panie Redaktorze

W związku z listem podpisanym „Grono Członków Klubu Przyjaciół Telewizji", zamieszczonym w nr 38 „Odgłosów" prosimy o zamieszczenie poniższych uwag

1) Klub Przyjaciół Telewizji, zawiązał się na przełomie 1957 i 1958 r. z inicjatywy kierownictwa Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego. Do końca 1959 r. Zebrania Klubu odbywały się na terenie ŁOT mniej więcej co miesiąc i skupiały od kilku do kilkunastu osób. Tylko jedno z ostatnich zebrań, dzięki energicznej propagandzie prowadzonej w programie ŁOT, zgromadziło kilkadziesiąt osób.

2) Występując do telewidzów z inicjatywą stworzenia Klubu kierownictwo ŁOT pragnęło znaleźć trybunę dyskusyjną na temat programu telewizyjnego, który w tym okresie nie był jeszcze przedmiotem zainteresowań i recenzji prasowych.

3 W początkowym okresie swego istnienia Klub pozwalał kierownictwu ŁOT orientować się w sądach i opiniach telewidzów na temat pracy ŁOT., którego program składał się wówczas wyłącznie z audycji własnych. Później po uruchomieniu telelączy, przeważająca większość programu emitowanego przez łódzki nadajnik powstawała poza naszym Ośrodkiem (retransmisje programu ogólnopolskiego). Wypowiedzi i rozważania członków Klubu na temat tych audycji mijały bez konkretnego pożytku dla Kierownictwa ŁOT, które nie miało bezpośredniego wpływu na ich dobór i poziom. W tym też okresie w prasie pojawiły się stale recenzje programu telewizyjnego, co umożliwiało pracownikom ŁOT zapoznanie się z oceną ich pracy.

4) Ponieważ na zebrania Klubu przybywało stosunkowo niewielkie grono tych samych w zasadzie osób a — z biegiem czasu — ilość odbiorców programu TV w zasięgu naszego Ośrodka wzrastała gwałtownie (średnio o półtora tysiąca abonentów miesięcznie) kierownictwo ŁOT zaczęło mieć wątpliwości, czy Klub w rzeczywistości reprezentuje opinię dziesiątków tysięcy telewidzów. Ze względu na trudności lokalowe nie można było drogą propagandy antenowej dążyć do zwiększenia grona klubowego. Teoretycznie bowiem każdy z ponad stutysięcznej dziś rzeszy telewidzów łódzkich miałby prawo pojawić się na zebraniu Klubu... Tymczasem obserwowany od końca 1958 r. szybki wzrost zadań programowych ŁOT prowadził do intensywnej eksploatacji pomieszczeń Ośrodka co spowodowało, że kierownictwo ŁOT nie było w stanie zagwarantować Klubowi lokalu nawet na zebrania skupiające — jak się rzekło — kilkanaście osób.

Zważywszy powyższe względy, jak również biorąc pod uwagę występujące u niektórych członków Klubu tendencje przekształcenia grona dyskusyjnego w rodzaj rady artystycznej, której decyzje wiążą kierownictwo ŁOT., zdecydowaliśmy się nie podtrzymywać współpracy z Klubem w pierwotnie przyjętych formach. Uznając pozytywną rolę jaką Klub odegrał w pierwszym okresie swego istnienia, jesteśmy zdania, że ta forma współpracy z telewidzami przeżyła się i że szukać należy innych sposobów sondowania opinii naszego odbiorcy. W tym celu zapoczątkowaliśmy już próby organizowania środowiskowych dyskusji nad konkretnymi programami ŁOT. Akcję tę zamierzamy w bieżącym sezonie bardzo rozwinąć. Korzystając z gościnności „Dziennika Łódzkiego" rozpoczęliśmy rozmowy z telewidzami, odpowiadając na ich pytania przez „telefon usługowy". Pragniemy pogłębić i rozszerzyć nasze kontakty z telewidzami, doceniając ich duże znaczenie dla pracy ŁOT, której — jak nam dobrze wiadomo — daleko jeszcze do doskonałości.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI
EDWARD SZUSTER

U studentów

Rok akademicki rozpoczęty. Ożywia się również działalność zawsze pełnej pomysłów i inicjatywy Rady Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich. Organizowane są spotkania z pisarzami, a trzeba przyznać, że u studentów na imprezach tego typu jest zawsze tłoczno i dyskusje nie ograniczają się jedynie do konwencjonalnych frazesów.

Ostatnio Rada Okręgowa zaprosiła do Łodzi eksperymentalny teatr z Opola „Trzynaście rzędów". Opolanie zaprezentują łódzkiej publiczności dwie sztuki — staroindyjski dramat „Sakuntala" oraz „Misterium Buffo". Spektakle odbywać się będą oczywiście w sali studenckiego teatru satyrycznego „Pstrąg".

Goście w Łodzi

W ubiegłym tygodniu gościł w Łodzi znany pisarz Tadeusz Breza, autor „Spiżowej bramy", o której w swoim czasie pisaliśmy w notatce „Bestsellery miesiąca".

Poza tym w naszym mieście wystąpił w ubiegłą niedzielę rewelacyjny zespół pieśniarzy francuskich „Les freres Jacques"

Corrida

Tak właśnie nazywa się rzeźba Aliny Szapocznikow zakupiona niedawno przez Łódzkie Muzeum Sztuki. Rzecz kosztowała 20 tys. zł, ale też dzieło jest naprawdę imponujące.

Obejrzeć „Corridę" będzie można już w pierwszych dniach października, w tym terminie bowiem przewidziane jest ukończenie remontu muzeum.

Jeszcze o Kowalskim

Tym razem po raz ostatni piszemy o byłym kierowniku kina „Polesie" Edwardzie Kowalskim. Zarzuty postawione p. Kowalskiemu w opublikowanym trzy tygodnie temu wyjaśnieniu Zarządu Okręgu ZZPF znajdują niestety pokrycie w faktach. Redaktor niniejszej rubryki z przykrością musi stwierdzić że Kowalski informując o swej działalności niejednokrotnie bądź mijał się z prawdą, bądź przemilczał niewygodne dla niego fakty. Wszystko to sprawiło, że „Odgłosy" wzięły w obronę człowieka, który niestety na to nie zasługiwał. I to byłoby wszystko, co w tej niezbyt przyjemnej dla nas sprawie mamy do powiedzenia.

Brawo ŁPRB nr 3

Zespół artystyczny Łódzkiego Przedsiębiorstwa Robót Budowlanych nr 3 istotnie zasługuje na bardzo duże brawa. Otóż młodzi robotnicy postanowili urządzać dla pacjentów szpitala im. Babińskiego koncerty rozrywkowe Nie trudno się domyśleć z jakim serdecznym przyjęciem chorych spotkała się ta inicjatywa. A może jakieś inne zespoły pójdą w ślady ŁPRB?

prostujemy

W nr 39 „Odgłosów" do artykułu M. Wawrzkiewicza „Sezon teatralny 1960/61" wkradło się kilka błędnych informacji, które prostujemy. Dyrektorem Teatru 7.15 jest ob. Michał Tomski, Janusz Kłosiński jest kierownikiem artystycznym Teatru 7.15.

Zostało zniekształcone nazwisko kierownika muzycznego Opery, Włodzimierza Ormickiego.

przepraszamy

Redaguje Zespół O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-38 Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.— kwartalnie zł 12.— Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca O Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz RUPIK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" O Druk: RSW Prasa" — Łódź, Zwirki 11. O Zam. 2992. X. 66. R-4

NAJOSTRZEJSZE OŁÓWKI ŚWIATA

WILMAR RIEGENRING

Niemiecki karykaturzysta Wilmar Riegenring — był przez szereg lat ślusarzem. Z biegiem czasu, studiując i pracując — osiągnął zawód inżyniera budowy maszyn. O rysowaniu żartów nigdy nie myślał bardzo by się zdziwił, gdyby jakaś wróżka taką karierę mu przepowiedziała... W latach 1930-35, w okresie rozszalałej faszyzacji Niemiec — młody inżynier, znany ze swych postępowych przekonań znalazł się bez pracy. Aby jakoś przeżyć — zaczął rysować karykatury przede wszystkim dla tygodników „Lustigen Blätter" i „Koralle". O dziwo, żarty te zostały świetnie przyjęte przez czytelników i krytykę, która zwróciła uwagę na pomysłowość dowcipu tego samouka tak skutecznie przełamującego ciężkawy i dosadny komizm ówczesnego humoru niemieckiego.

Od 1935 roku Wilmar Riegenring poświęca się już całkowicie humorystyce, którą porzucił tylko na okres wojny, nie chcąc się poddawać militarystycznej propagandzie goebelsowskiej. Pełnię popularności zdobył zaś dopiero w NRD, jako współpracownik pism satyrycznych „Frischer Wind" i „Eulenspiegel".

Uprawia równolegle — pryncypialną satyrę polityczną i beztroski humor. Szczególnie lubi rysować żarty o malarzach i ich dziełach.

(JERT)

(„Wrogowie klasy pracującej liczą, że masy zapomną o swoich krzywdach, ale na pewno się przeliczą" — Karol Liebknecht)

— NIE ZAPOMNĘ!

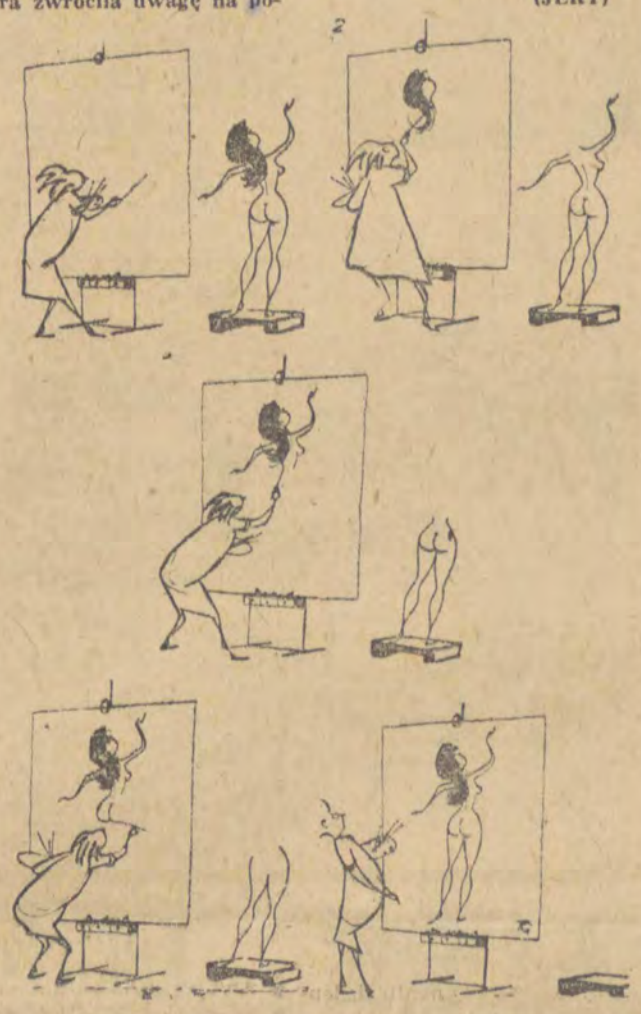

Bez słów

KŁOPOTY OBFITOŚCI

(dokończenie ze str. 1)

mogą stanowić generalne rozwiązanie problemu.

Zdajemy sobie jednak sprawę z tego, że idea powszechnego i całkowitego rozbrojenia nie od razu doczeka się urzeczywistnienia. Należy więc na razie zapobiec pogarszaniu się sytuacji zacieśnianiu się fatalnego kręgu nieufności i podejrzeń. To właśnie miał na uwadze Władysław Gomułka, wysuwając swoje częściowe propozycje rozbrojeniowe a więc raz jeszcze plan dezatomizacji czterech krajów Europy Środkowej: Niemiec Zachodnich, NRD, Polski i Czechosłowacji. Władysław Gomułka zaproponował ponadto, by trzy wielkie mocarstwa atomowe zobowiązały się do podpisania porozumienia w sprawie przerwania doświadczeń z bronią termojądrową oraz do niewyposażania innych armii świata w broń atomową i rakietową. Są to propozycje, które trudno odrzucić, tym bardziej, że należy je traktować w powiązaniu z propozycją światowego plebiscytu w sprawie rozbrojenia oraz powołania przez ONZ komisji, która by przedstawiła światu obraz następstw atomowej wojny.

Często słyszymy taki pogląd: jeżeli przywódcy naszego obozu zdają sobie sprawę z tego, że ich propozycje rozbrojeniowe nie zostaną przyjęte przez mocarstwa zachodnie, to po co je wysuwają? Chyba tylko dla celów propagandowych. Tego rodzaju pogląd jest bzdurny, nie uwzględnia on mechanizmu politycznego działania. Propozycje te płyną bowiem w świat trzema torami: jeden tor prowadzi do rządów zachodnich mocarstw, drugi tor do narodów całego świata, a trzeci do rządów krajów neutralnych. Propozycje te stawiają przed wszystkimi narodami wizję rozbrojonego świata. Wizję, bez której niełatwo żyć, której nie można się już pozbyć. Stwarzają one realną możliwość współżycia świata socjalistycznego i świata krajów neutralnych. Rządy mocarstw zachodnich stają się więc izolowane, a wizja rozbrojonego świata będzie ich zmuszała do ustępstw, tak jak już teraz zmusza do słownego poparcia idei powszechnego rozbrojenia. Tak więc to nie propaganda, lecz wielka polityka, bez której nie pozostałoby chyba nic innego, jak spuścić głowę i czekać aż rąbną w nasz niewielki glob ziemski bomby wodorowe.

Problem niemiecki nie może być omawiany na sesji ONZ. Został on zastrzeżony dla czterech wielkich mocarstw jako remanent drugiej wojny światowej. Ale niestety, teraz, 15 lat po wojnie trzeba ten problem traktować jako możliwość trzeciej wojny światowej i w taki właśnie sposób Władysław Gomułka przedstawił problem niemiecki.

Punkt po punkcie dosłownie z logiką prawnika przedstawił Władysław Gomułka światu narastające niebezpieczeństwo niemieckiego militaryzmu, który właśnie teraz odchował się już na tyle, że z trzaskiem rwie wszystkie więzi i łamie wszystkie bariery, oddzielające go od umiłowanych atomowych broni.

Powiało duchem Chamberlaina, kiedy premier Wielkiej Brytanii Harold MacMillan wystąpił jako „advocatus diaboli", próbując odparować zarzuty Gomułki na temat niebezpieczeństwa niemieckiego militaryzmu. Nie po to jednak przeżyliśmy krwawe piekło trzeciej wojny światowej, żeby teraz w roku 1960 szukać złudnego bezpieczeństwa. Parasol Chamberlaina za mocno jeszcze tkwi w naszej pamięci. Nic więc dziwnego, że już nazajutrz po przemówieniu MacMillana siedzieliśmy przy głośnikach słuchając repliki Władysława Gomułki. I znów rzeczowy, spokojny ton i znów fakty i cytaty precyzyjne i demaskatorskie. Znów zaniepokojenie wśród obserwatorów NRF, że tego pojedynku premier MacMillan, dobry polityk, ale w złej roli występujący, wygrać nie może.

Tak minął tydzień. W przyszłym tygodniu — nowe kłopoty obfitości dla politycznego felietonisty

JACEK LEBEN

SEDNO RZECZY

MARIAN PIECHAL

GŁÓD i MIŁOŚĆ

Głód i miłość, jak twierdzą zgodnie wszyscy uczeni — to najpotężniejsze motory życia w ogóle. Co prawda na bardzo pierwotnym szczeblu życia organicznego istnieje tylko głód, zawierający w sobie miłość w stanie utajonym, potencjalnym, a ujawniającym niejako naocznie jak bardzo miłość zależna jest od głodu. Są pewne jednokomórkowce rozmnażające się przez podział, co uzależnione jest od pewnego kwantum wchłoniętego przez nie pokarmu. Tutaj akt odżywiania jest za razem aktem zapładniania. Nawet proste zjawisko imbibicji czyli zdolności pochłaniania wody przez martwe tkanki zwierzęce lub roślinne, albo nawet przetwory z tych tkanek, jak na przykład papier, jest wyrazem takiego właśnie złożonego aktu, mającego na celu zbudzenie w tych tkankach utajonych zalążków życia, rozmaitego rodzaju bakterii i wirusów, a którego następstwem są znane procesy gnicia, pleśnienia, butwienia itp.

Ale tu już przekraczamy granicę istót żywych, rozciągając zjawisko głodu i miłości na teren materii nieożywionej. Można zacząć spór z fizjologami na temat właściwości takiego stanowiska, ale niepodobna przejść bez zastanowienia obok eksperymentu z „pożerającą kroplą", o czym wspomina Tomasz Mann w największym dziele swego życia „Doktorze Faustusie", które teraz właśnie wyszło w przekładzie polskim wydane przez „Czytelnika". Narrator tej powieści opowiada: *„Kropla, z czegokolwiek by się składała, z parafiny, olejku eterycznego czy z chloroformu, nie jest zwierzęciem, choćby nawet prymitywnym, nie jest nawet amebą, zakładamy więc, że nie może odczuwać apetytu na spożywanie tego, co jej służy, a tego, co nie służy, wydalać. To wszystko jednak robiła nasza kropla. Wisiała odosobniona w szklance wody, a w pobliżu niej umieszczona była cieniutka sztabka ze szkła posmarowana szelakiem. Kropla ta w pewnym momencie wyrzucała na swą powierzchnię mały bąbelek, coś jakby wzgórek chłonny, przez który wchłaniała w siebie tę sztabkę w całej jej długości. Sama rozciągała się przy tym wzdłuż, przybierając kształt gruszki, chcąc całkowicie pochłonąć swój łup, tak aby końce jego nie wystawały i zaczynała, znów się stopniowo zaokrąglając, przyjmować ponownie kształt jajowaty, zjadać ów szelak ze szklanej sztabki i zasilać nim swoje ciało. Dokonawszy tego, wyrzucała, powracając do kulistego kształtu, czysto wylizany sprzęt, w poprzek poza swoje brzegi, w otaczającą ją wodę".*

Niesamowite, a jednak prawdziwe! Każdy z czytelników może się o tym przekonać, przeprowadziwszy osobiście ten eksperyment. Okazuje się, że granica między materią ożywioną a nieożywioną jest sztuczna. W takim więc stanie rzeczy zjawiska głodu i miłości zdają się być przyrodzonymi niejako atrybutami (ach, straszne słowo!) materii zewnętrznymi jakby przejawami jej istnienia.

Najwyżej zorganizowane życie materii, to — jak wiadomo z dotychczas dostępnej nam wiedzy o wszechświecie — człowiek. Dzięki zjawisku miłości — to jasne — istniejemy, głód zaś uczynił nas istotami myślącymi. Głód bowiem, to potrzeba, a potrzeba to „matka wynalazków", zaś każdy wynalazek, to produkt myśli. Ktoś może powiedzieć, że o wielu wynalazkach czy odkryciach decyduje przecież przypadek, jak na przykład owo jabłko spadające na nos Newtona. Tak, to prawda, ale ten przypadek decyduje o wynalazku czy odkryciu tylko wtedy, kiedy dotyczy nie byle kogo, lecz właśnie kogoś w rodzaju Newtona, Kopernika lub Kolumba. Trzeba umieć myśleć, aby zauważywszy zwyczajny przypadek wyprowadzić z niego niezwyczajne wnioski.

Jednak źle by myślał, źle by rozumował ten, kto z przebiegu powyższych refleksji wysnułby wniosek o nieodzowności na przykład głodu fizycznego wśród ludzi dla dalszego rozwoju ich cywilizacji. To prawda, że pierwotnym źródłem cywilizacji i całej w ogóle kultury ludzkiej była potrzeba, był głód fizyczny człowieka. Ale dalszy rozwój tej cywilizacji pozwala wyeliminować głód jako jedyny bodziec jej rozwoju. Zjawiają się bowiem inne głody, jako ewolucyjne następstwa ludzkiej kultury, jak na przykład ogólna tendencja cywilizowanych narodów, ażeby plagę głodu fizycznego, trapiącego ludzkość od zarania jej dziejów, w ogóle wyeliminować podobnie jak to zrobiono z plagą dżumy, ospy, cholery i syfilisu.

Głód fizyczny, na który cierpi jeszcze większość ludności wskutek wadliwej gospodarki płodami ziemi, jest hańbą naszego wieku, wieku energii atomowej i rakiet kosmicznych. Głód fizyczny z pierwotnej roli bodźca rozwojowego kultury ludzkiej zmienił się oto w naszych czasach we własne przeciwieństwo: hamulca tejże kultury. Człowiekowi głodnemu fizycznie obojętne jest wszystko prócz miski z jedzeniem. Nie ma czasu ani usposobienia na uświadomienie obecności w sobie innych głodów, dotyczących na przykład IX Symfonii Beethovena lub problemów podróży międzyplanetarnych, które to głody są obecnie z kolei po tym pierwotnym jedynymi bodźcami dalszego rozwoju cywilizacji i kultury.

„Czy ludzie muszą głodować?" — taki tytuł nosi niezwykle aktualna i wprost rewelacyjna książka amerykańskiego ekonomisty, prof. Jacoba Osera, której polski przekład ukazał się przed paru dniami nakładem Polskiego Wydawnictwa Gospodarczego. Okazuje się, że dwie trzecie obecnej ludności na świecie głoduje. Że tymczasem nasza Ziemia przy obecnym stanie wiedzy agronomicznej mogłaby wyżywić co najmniej kilkakrotnie więcej ludzi, niż obecnie, że na przeszkodzie temu stoi nieproporcjonalny stosunek możliwości produkcyjnych do potrzeb konsumpcyjnych ludności. Że te dysproporcje powodują niespożytkowany nadmiar i niezaspokojony brak co z kolei wywołuje wyniszczające kryzysy społeczne i pustoszące wojny konkurencyjne, które powodują jeszcze większe dysproporcje między bogactwem jednych, a nędzą drugich.

Wojna nie likwiduje, lecz powiększa głód, gdyż większość energii ludzkiej skierowuje nie na produkcję środków egzystencji, lecz niszczenia. Pierwsza wojna światowa kosztowała 245 miliardów i 800 milionów dolarów, druga 1.483 miliardy i 900 milionów. W pierwszej wojnie światowej zginęło 9 milionów żołnierzy, w drugiej 23 miliony, nie licząc oczywiście kilkakrotnie większej liczby rannych. Z podziału wydatków wojennych przez liczbę poległych, wypada, że zabicie jednego człowieka podczas pierwszej wojny kosztowało 27.300 dolarów, a podczas drugiej 64.500. Ile kosztowałoby podczas trzeciej? Gdyby każdemu z tych zabitych oddać sumę, kosztem której został zabity — jakież rajskie życie mógłby urządzić sobie i swojej rodzinie do końca dni swoich?

Z dwóch pierwotnie najpotężniejszych motorów życia ludzkiego można przy dzisiejszym poziomie wiedzy wyeliminować głód, czynnik dewastujący obecnie życie, a zastąpić go jedynie dobroczynnym źródłem, jakim jest miłość, pierwiastek rozrodczy nie tylko w sensie biologicznym, ale przede wszystkim cywilizacyjnym i kulturotwórczym.

Kolorowym atramentem

Nasza prasa — ta popularna („Przekrój") a także i ta bardziej specjalistyczna („Nowa Kultura") — lansuje ostatnio uniwersalną receptę na dobre aktorstwo filmowe. Poczęstowano nas mianowicie szczegółowymi rewelacjami, w jaki sposób ceniony skądinąd reżyser francuski Henri-Georges Clouzot pragnie ulepić z Brigitte Bardot wielką aktorkę dramatyczną.

Sposoby pana Clouzot są nader oryginalne. Brigitte ma być na ujęciu zmęczona — należy więc aktorkę przetrzymać cały dzień bezczynnie w atelier, ucharakteryzowaną, unikając jak ognia ewentualnych posunięć, które mogłyby rozładować jej napięcie nerwowe w oczekiwaniu na klaps — i zacząć z nią zdjęcia dopiero późnym wieczorem. Brigitte ma płakać na ekranie — oto jedyna, niezastąpiona metoda:... „(Clouzot) wraca do niej i potrząsa nią brutalnie. — Zrozumiałaś! — krzyczy". (cyt. z „Przekroju"). A więc — krzyczmy, używajmy „siły brutalnej" — i wtedy dopiero „zacznie się kariera tragiczki Brigitte Bardot" (cyt. z „Nowej Kultury")...

Idąc dalej po tej linii — niesłychanie łatwo dośpiewać sobie jeszcze inne, podobne „sposoby na aktorów". Chcesz, by ci aktor pokazał zaskoczenie — podłóż mu nieznacznie na siedzenie krzesła — pineskę. Dla przerażenia aktorki — najlepiej wpuścić jej mysz za dekolt. Chcesz mieć aktora smutnego — postaraj się wmówić, że mu przed chwilą umarła mamusia...

Obrzydliwość!

Metody pana Clouzot nie mają nic wspólnego z reżyserią, ustawianiem roli, prowadzeniem aktora. Zasłużony realizator „Widma" i „Ceny strachu" najwidoczniej — delikatnie mówiąc — doznał lekkiego pomieszania... pojęć.

A wszystko razem na kilkaset kilometrów cuchnie hecą — reklamową, która ma zrobić kasę nieukończonemu jeszcze filmowi i podreperować nadszarpniętą sławę sympatycznej gwiazdki.

My zaś — jak za panią matką — skwapliwie powtarzamy bałamutne rewelacje paryskich reklamiarzy.

J. WEYCHERT

P. S. Już po złożeniu do druku niniejszego felietonu PAP doniósł o ciężkiej chorobie BB — „na skutek zażycia nadmiernej ilości środków nasennych". Smutna pointa!

J. W.

NA EKRANACH W PAŹDZIERNIKU

„NIEZNANY ZDRAJCA"

Film Julien Duviviera od razu przywodzi na myśl słynnych i znakomitych „12 gniewnych ludzi". Podobnie jak w tamtym filmie, jego akcja rozgrywa się w jednym pokoju w ciągu dwóch godzin. Duvivier w swoim filmie dał coś w rodzaju „śledztwa towarzyskiego", przegląd pewnych typów ludzi z różnych grup zawodowych. Tym się różni też jego film od amerykańskiego, gdzie reżyser Lumet lepiej zindywidualizował bohaterów, ukazał motywy społeczne decydujące o ich postawie. Zręcznie wyreżyserowany film jest przede wszystkim przeglądem aktorstwa takich gwiazd filmu francuskiego jak: Danielle Darieux (może nieco jednostajna i banalniejsza niż zwykle), Serge Reggiani, Bernard Blier i Paul Meurisse.

A. N.

„TAMA NA PACYFIKU"

Trzy nazwiska, które się bardzo liczą: Rene Clement, Marguerite Duras, Irvin Shaw. Clement — twórca filmów „Bitwa o szyny", „Potępieńcy", „Wzbronione zabawy". Duras — autorka scenariuszy „Hiroszima moja miłość", „Moderato Cantabile". Irvin Shaw — jeden z najpopularniejszych w Polsce pisarzy amerykańskich („Młode lwy").

I oto mariaż tych trzech indywidualności daje w efekcie film dość przeciętny. Scenariusz szeleści papierem wymyślonymi nieco konfliktami. Reżyser — tak, właśnie reżyser jest tu głównym winowajcą — zamiast pogłębić problem — „poszedł wszerz" (panorama, widowisko). Otrzymaliśmy film ogromnie efektowny, ale pusty.

J.

„TRZY CZWARTE SŁOŃCA"

Już nie więźniowie, a jeszcze nie ludzie wolni — oto bohaterowie interesującego filmu produkcji jugosłowiańskiej. Koszmar wojny, okupacji nawet po przekroczeniu drutów obozowych — ciąży nadal na ich psychice, rodzi dramatyczne konflikty. Upragniona wolność wcale nie okazuje się rajem, piętrzą się przykre niespodzianki.

Debiutujący tym filmem reżyser Jose Babic otrzymał za „Trzy czwarte słońca" nagrodę reżyserską na Festiwalu w Puli w roku ubiegłym. Zasłużenie Babic bowiem umiejętnie buduje całą opowieść i poszczególne sceny, potrafi stworzyć nastrój.

S. S.

„BITWA POD PIRAMIDAMI"

Kolor, góry Gruzji, piaski Egiptu, haremy, konie, Mamelucy, wojsko napoleońskie, bitwy, dużo tutaj — zdawało by się — niezawodnych atrakcji. A jednak film nie wyszedł, zabrakło dobrego, logicznego scenariusza.

Szczególnie rażą naiwności sytuacyjne, słabe aktorstwo i dialogi, które koniecznie muszą opowiedzieć lub komentować to wszystko, co zostało już przedtem pokazane. Wspomniane atrakcje mogą najwyżej zadecydować, że „Bitwa pod piramidami" będzie się podobać młodzieży.

S. S.

Kukiełki ożywają na ekranie

Zgodnie z obietnicą sprzed tygodnia — drukujemy dziś omówienie kolejnych pozycji z najnowszego dorobku Studia Filmów Lalkowych w Tuszynie.

„PAN SOCZEWKA" (scenariusz i reżyseria — Jerzy Kotowski). Adaptacja wierszowanego opowiadania Jana Brzechwy. Przygody operatora filmowego, pana Soczewki, który wylądował w puszczy i uwiecznił na taśmie filmowej, groźnych jej mieszkańców.

„POZYTYWKA" (scenariusz i reżyseria — Jerzy Kotowski). Adaptacja opowiadania M. Sałtykowa-Szczedrina. W miasteczku rosyjskim Głupowie, panuje dziwny gubernator, który ma w głowie pozytywkę. Gdy pozytywka się zepsuła — w mieście zapanowała anarchia...

„ZŁODZIEJE" (scenariusz i reżyseria Wacław Kondek). Akcja filmu rozgrywa się w egzotycznej scenerii Bliskiego Wschodu. Film opowiada o dwóch złodziejach, którzy oszukują się wzajemnie, wreszcie sami zostają oszukani przez jeszcze większego cwaniaka...

Wszystkie wymienione dotąd filmy są ukończone i gotowe do rozpowszechnienia (uwaga OZK!). A oto filmy, których realizacja dopiero się rozpoczyna:

„ZBROJNIA NA ULICY KOTA BRZUCHOMÓWCY" (scen. i reżyseria — Zenon Wasilewski). Film opowiada o przygodach zupełnie płaskiego osobnika — w środowisku ludzi trójwymiarowych.

„O JANKU, CO PSOM SZYŁ BUTY" (scenariusz i reżyseria — Lidia Hornicka). Film lalkowy dla starszych dzieci wg. znanej bajki Słowackiego.

„PRZYGODY BUDZIKA" (scenariusz Ewa Dąbrowska i Janina Hartwig, reżyseria Janina Hartwig). Opowieść o przygodach budzika, który uciekł od swego pana...

„CZAS PRZESZŁY" w ATELIER

Przed kilku tygodniami rozpoczęto w łódzkim atelier realizację filmu „Czas przeszły". Scenariusz napisał Andrzej Szczypiorski według własnej książki, która niebawem ma się ukazać w księgarniach. Reżyseruje — Leonard Buczkowski (Zakazane piosenki", „Skarb" „Sprawa pilota Maresza", „Orzeł" i inne).

Czytałem scenopis „Czasu przeszłego". Film będzie eksploatował problematykę ostatniej wojny.

Obok pierwszoplanowego zagadnienia odpowiedzialności za zbrodnie hitlerowskie — interesujący i bardzo dramatyczny wydał mi się wątek przywódcy grupy antyfaszystowskiej działającej z bronią w ręku na tyłach wroga, wątek zwycięzcy, który mimo wszystko wojnę przegrał, tragizm bohatera uwikłanego w sytuację, która przynieść mu może tylko pogardę towarzyszy i przyjaciół.

Film Buczkowskiego będzie bardzo ciekawie i — powiedziałbym — nowocześnie skonstruowany. Mieszają się w nim czasy wydarzeń, miejsca akcji. Kiedy jednak podczas rozmowy z reżyserem wypowiedziałem słowo „antyfilm", pan Buczkowski zaprotestował:

— Wprawdzie „Czas przeszły" nie będzie miał klasycznej dramaturgii, ale też nie zostawiam w nim żadnych niejasności, żadnych zagadkowych niedopowiedzeń...

Od reżysera Buczkowskiego dowiaduję się jeszcze, że film będzie „aktorski", tzn. silnie opierający się na grze aktorów.

Z bardziej znanych twarzy zobaczymy w nim Holoubka, Horawiankę, Łomnickiego, Hanuszkiewicza, Bąka...

Zdjęcia do „Czasu przeszłego" zostaną zakończone w pierwszych dniach listopada, więc przypuszczalnie z początkiem przyszłego roku będziemy mieli okazję zobaczyć go na ekranach.

ŻAK.

Wyznam — nie lubię filmów „historycznych", czy tak kto woli kostiumowych, wyjątek stanowią tylko Eisenstein i Olivier. Ale ostatnio pojawił się na naszych ekranach film, który zmienił to uprzedzenie: film czarno-biały na normalnym ekranie „Siedmiu samurajów" Akiro Kurosawy.

Po niepowodzeniu pewnego naszego superfilmu na zagranicznym festiwalu poczęto przebąkiwać, że to nie wina realizatorów bo problem obcy widzowi włoskiemu i francuskiemu, bo tylko Polacy mogli ten film zrozumieć i właściwie odczuć.

Tymczasem — słowo daję, że problem walk chłopów japońskich z bandami rozbójników w XVI wieku nic, a nic mnie nie obchodzi. Przepraszam — nie obchodził. Pozornie wszystko jest tu jak najdalsze naszym zainteresowaniom: stosunki panujące w Japonii w XVI wieku, historia najbiedniejszych samurajów walczących za trzy porcje jedzenia dziennie itd. Nie ma tu nic z tych rzeczy, które tak lubimy: nie ma tysięcy zakutych w zbroje rycerzy, nie ma bitwy na skalę Cecil de Milla, w której dzielni wojowie rąbią przeciwnika, a kurz przesłania zręcznych dublerów. Nie ma romantycznej miłości, a dziewczyna z koniki nie wita wracających z wojny bohaterów. Ale jest za to wielka sztuka.

Kurosawa wyrzekł się ilustratorstwa. Nie tylko opowiedział pasionującą historię walki siedmiu samurajów przeciwko czterdziestu rozbójnikom, ale znalazł sprawy głębsze, a pasionujące psychologiczne rzetelne. Oto np. samuraje którzy zostali wynajęci przez wieś do obrony przed rozbójnikami są otaczani pogardą, ba, nawet znienawidzeni, bo zabierają chłopom część i tak nędznej strawy. Czyż nie jest to pasionująco aktualne?

Nieważne zresztą czy film ma słabsze lub silniejsze aluzje do współczesności. Ważne jest ustawienie problemu, ważne jest, że na ekranie działają prawdziwi ludzie, a nie przebierańcy.

Są w tej chwili na naszych ekranach dwa trzygodzinne filmy „historyczne". Na jeden wala nieprzebrane tłumy — to zrozumiałe. Na „Siedmiu samurajów" przychodzi kilkudziesięciu widzów — to smutne.

STANISŁAW RYŚ

Rosanna Schiaffino (po raz drugi)